

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 5

STEFAN OTWINOWSKI

SEWERYN POLLAK

CZESŁAW MIŁOSZ

KAROL ESTREICHER

WANDA MELCER

STANISŁAW ŁEMPICKI

LONDYN

M A J

1946

**MILLIONS of RAZORS
make hay of
BILLIONS of BRISTLES
per day**

thanks to this
**SOFTENING SMOOTHING
SOOTHING LATHER**



1/10 $\frac{1}{2}$ & 2/6 Including Tax

Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontyentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

**NALEŻY OBECNIE ZAO-
PIEKOWAĆ SIĘ FUTRAMI**

VANEK jest największym mistrzem w przerabianiu, czyszczeniu i przechowywaniu futer wszelkiego rodzaju. Robota pierwszej klasy.
:: Wynagrodzenie umiarkowane. ::

Zgłaszaj się pod

4, WILLIAM STREET,

Knightsbridge, London, S. W.

również w BOURNEMOUTH.

POLSKI KUŚNIERZ

dawniej Katowice

LANGER & CO. (FURRIERS) LTD.

59 Knightsbridge, London S.W. 1

Tel.: SLOane 3626

Wykonuje NOWE FUTRA i przeróbki z własnych i powierzonych materiałów.

UWAGA! Wyjątkowa 25% -towa zniżka cen futer gotowych na składzie.

Specjalne udogodnienia dla prowincji.

SPIS RZECZY

	Str.
STEFAN OTWINOWSKI — <i>Wielkanoc</i>	257—270
SEWERYN POLLAK — <i>List do przyjaciela</i>	270—274
CZESŁAW MIŁOSZ — <i>Granice sztuki</i>	274—282
KAROL ESTREICHER — <i>Zmiany</i>	283—290
WANDA MELCER — <i>Wycieczka</i>	291—302
STANISŁAW ŁEMPICKI — <i>Książki i ludzie</i>	302—304
* * * — <i>Literatura, sztuka i nauka w Anglii</i>	305—320

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM VI

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 5

LONDYN

M A J

1946

STEFAN OTWINOWSKI

WIELKANOC

Dramat w trzech aktach z prologiem

OSOBY PROLOGU:

PANI FREUD, właścicielka zajazdu (*lat 50*)

EWA FREUD

SAMUEL FREUD } jej dzieci

STANISŁAW ŁASKI, dziennikarz (*lat 50*)

SICIŃSKI, nauczyciel (*lat 35*)

DWÓCH KOLEJARZY

DWOJE DZIECI

PROLOG

*Scena przedstawia salę restauracyjną domu zajezdnego w małym miasteczku
Pani Freud sama przy bufecie. Po chwili wchodzi chłopak.*

CHŁOPAK Pani Freud, pani pozwoli trzy piaskie.

PANI FREUD Dla kogo dziecięco trzy piaskie?

CHŁOPAK Dla tatusia, pani Freud.

PANI FREUD A pieniądze masz dobrze?

CHŁOPAK Proszę.

PANI FREUD (*liczy*) Dobrze.

CHŁOPAK Do widzenia.

PANI FREUD Idź z Bogiem, dziecko.

(*Wchodzi Stanisław z walizką w rękę.*)

STANISŁAW Dobry wieczór, pani gospodyni.

PANI FREUD Czym mogę służyć?

STANISŁAW (*rozgląda się po sali*) Przyszedłem tutaj po informacje.
Widzi pani, przyjechałem tu do wuja z Warszawy. I mam kłopot, bo nie
zastałem go w domu.

PANI FREUD Można wiedzieć do kogo?

STANISŁAW Do doktora Przypkowskiego. Musi pani chyba znać?

PANI FREUD Doktor Przypkowski? Znacny człowiek.

STANISŁAW Gospodynię ma nieprzyjemną. Zauważyłem, żeby mnie
niechętnie zostawiła na noc. I nie wiem: będzie jeszcze jakiś autobus do
Warszawy?



PANI FREUD Właśnie przed chwilą ostatni poszedł. Rusza sprzed naszego domu.

STANISŁAW Poszedł? To co, będę tu musiał nocować. Albo jest może jaki inny sposób? *(Do szynku wchodzi dwóch kolejarzy)*.

PIERWSZY KOLEJARZ Pani szefowa, pani zrobi nam kolejkę.

PANI FREUD Jak tam jest — panowie, ostatni pociąg odszedł już z Cegielni?

STANISŁAW Ach więc jest tu gdzieś i pociąg?

PANI FREUD O kilometr od miasteczka.

DRUGI KOLEJARZ W sobotę ostatni pociąg odchodzi o 8-ej.

PIERWSZY KOLEJARZ *(poprawia)* W dni przedświąteczne ostatni pociąg w stronę Warszawy mamy o godzinie 19,58. Niech pani zrobi następną kolejkę.

DRUGI KOLEJARZ Wszystko jedno 7,58 czy 8, i tak się już nie zdąży.

PIERWSZY KOLEJARZ Co wszystko jedno? Na kolei, proszę państwa, nie ma wszystko jedno. *(W stronę Stanisława)* Kolej, to jest zegarek, a na zegarku dwie minuty, to są właściwie...to są właściwie... Faktycznie. Pani szefowa, pani zrobi jeszcze trzy angielki. Pan szanowny nie odmówi. *(Pija)* Co to właściwie? Aha, dwie minuty. To są... To będzie...

STANISŁAW To będzie stodwadzieścia sekund. Pewnie, na kolei to ma wielkie znaczenie.

PIERWSZY KOLEJARZ *(Z uznaniem)* O.

DRUGI KOLEJARZ *(obojętnie)* Pewnie...

PIERWSZY KOLEJARZ Kolej to jest zegarek *(do kolegi)* Co byś bracie powiedział, gdyby ci się twój zegarek spóźnił o dwie minuty?

DRUGI KOLEJARZ *(flegmatycznie)* Powiedziałbym, że się spóźnia dwie minuty.

PIERWSZY KOLEJARZ *(z oburzeniem)* Cooo?

STANISŁAW Ja powiedziałbym, że ma dwie minuty opóźnienia, i albobym sam naregulował, albobym dał do zegarmistrza...

PIERWSZY KOLEJARZ A narazie...pod względem czasu...

STANISŁAW A narazie pod względem czasu nie polegałbym na własnym zegarku.

PIERWSZY KOLEJARZ O, inteligencja.

DRUGI KOLEJARZ *(Spogląda obojętnie na zegarek)* Chodź Felek, bo się spóźnimy na towarowy.

PIERWSZY KOLEJARZ Zaraz, Antoś...

DRUGI KOLEJARZ Nie, nie, Felek, musimy. Państwo wybaczą.

PIERWSZY KOLEJARZ *(niechętnie odchodzi od bufetu. Drugi kolejarz wyprowadza go prawie siłą)*.

PIERWSZY KOLEJARZ *(w drzwiach przedstawia się Stanisławowi)* Felicjan Siwiński jestem. Bardzo lubię z inteligencją.

(Drugi kolejarz wyprowadza Felicjana Siwińskiego.)

STANISŁAW *(do pani Freud)* Narazie z tego wynika na pewno, że i ta druga droga dla mnie narazie niedostępna. Będę musiał chyba prosić panią o nocleg. Nie wiem, czy ta gospodyni wuja przyjęłaby mnie na noc.

PANI FREUD Tu u nas będzie panu bardzo dobrze. Zaraz przyjdą moje dzieci. Nie będzie się panu nużyć...

STANISŁAW *(z przęstrachem)* Dzieci?

PANI FREUD Tak, moje dzieci są bardzo wykształcone. Także bardzo wykształcone.

STANISŁAW Także?

PANI FREUD Przepraszam, miałam na myśli szanownego pana. Pan pewnie, przepraszam, doktor? Można wiedzieć?

STANISŁAW Nie, proszę pani, nie jestem lekarzem. Zupełnie coś innego...

PANI FREUD Słucham, proszę?
STANISŁAW Jestem dziennikarzem.
PANI FREUD O, znaczy się, pisze pan do dzienników.
STANISŁAW I to nie, raczej do tygodników. U nas na taki zawód nie ma właściwie określenia. Z cudzoziemska mówi się esseyista.
PANI FREUD Rozumiem. Tygodniki polityczne.
STANISŁAW Tygodniki literackie.
PANI FREUD (*Z uznaniem*) Aha, Wiadomości Literackie... Znam. Moje dzieci czytają.
STANISŁAW Właśnie, między innymi Wiadomości Literackie. Ale takich tygodników jest więcej.
PANI FREUD Rozumiem. Literatura, filozofia — piękny zawód. Mój syn skończył filozofię, psychologię.
STANISŁAW O?
PANI FREUD Gdyby nie to, że jest Żydem, zrobiłby karierę, przysłużyłby się nauce. Znawcy powiadają: byłby drugi Freud... Tak, tak, gdyby nie był Żydem.
STANISŁAW Pierwszy Freud był Żydem.
PANI FREUD Tak, proszę pana, ale wtedy były jeszcze inne czasy. Mój syn mówi, że ten następny rok trzydziesty dziewiąty może być naprawdę, straszny. Jak pan myśli, ma mój syn rację?
STANISŁAW Tak, pani syn może mieć rację.
(*Wchodzi Ewa, córka pani Freud.*)
EWA Dobry wieczór, mamusiu.
PANI FREUD Moja córka, Ewa.
STANISŁAW Bardzo mi miło. Nazywam się Łaski.
PANI FREUD Piękne nazwisko (*W stronę córki*) Siostrzeniec doktora Przypkowskiego.
EWA Doktor Przypkowski, widziałam, wyjechał dziś do Warszawy.
STANISŁAW Właśnie. Dlatego muszę prosić państwa o nocleg.
EWA Nasz dom jest specjalnie dla takich okazji. Miło nam będzie, jeśli znajdzie pan tu wygodę... Mamusiu czy mam panu czymś służyć? Może pan głodny?
STANISŁAW Nie, napiłbym się herbaty.
EWA Zaraz przyniosę. (*Wychodzi.*)
(*Wchodzi nauczyciel Siciński.*)
SICIŃSKI Dobry wieczór, pani Freud.
PANI FREUD Do usług pana profesora.
SICIŃSKI Ma pani egipskie?
PANI FREUD. Jakżeby? Są dla pana profesora.
SICIŃSKI Proszę pudełko.
PANI FREUD Już daję.
SICIŃSKI (*Usprawiedliwia się*) Obszedłem wazystkie polskie sklepy...
PANI FREUD Inaczej nie śmiałabym myśleć...
SICIŃSKI Dużo brakuje jeszcze naszym kupcom (*placi*) Nie moja wina.
PANI FREUD Inaczej nie śmiałabym myśleć.
(*Wchodzi Ewa. Stawia herbatę przed Stanisławem.*)
SICIŃSKI Dobranoc pani.
PANI FREUD Zawsze do usług pana profesora.
SICIŃSKI Daj Boże, nieczęsto.
PANI FREUD Każdy ma swoją rację, panie profesorze... I my chcemy żyć.
SICIŃSKI Gdzie indziej moglibyście żyć spokojnie.
PANI FREUD Pan profesor myśli? Gdzie?
SICIŃSKI Tu niedługo może być specjalnie ciasno.

PANI FREUD Trudno. Tuśmy się urodzili. Poczekamy na swój los. Dla nas nie ma innej rady.

(Siciński wychodzi.)

STANISŁAW Kto to był?

PANI FREUD To nasz nauczyciel. Pan Siciński.

EWA Antysemita.

PANI FREUD Ewa, ja ciebie proszę, ty nie mów. To jest w gruncie rzeczy porządny człowiek.

EWA Mamusia o każdym tak.

PANI FREUD Z każdym człowiekiem trzeba dobrze. Przepraszam pana, pan mnie rozumie? Pański wuj jest naszym wielkim przyjacielem. Pan mnie rozumie? Dlaczego mam w każdym widzieć swego wroga? Ja wolę w każdym widzieć swego przyjaciela.

EWA To jest żydowska ślepota, żydowska bezbronność. Z tego się nigdy nie wyjdzie.

PANI FREUD A jest dla nas wyjście? Gdzie my możemy wyjść? Tym co wyszli myślisz, lepiej? Tu jest i tak dobrze.

EWA Mamusia mnie nie rozumie...Zresztą tak samo mówili i w Niemczech.

PANI FREUD *(Oburzona)* Co ty, czy można tak porównywać? Tu są dobrzy ludzie. Ewa, ja ci mówię, my tu mamy przyjaciół.

(Wchodzi Samuel.)

PANI FREUD Gdzieś tak długo bawił, synku?

EWA Mamusia się pyta? Nie zna mamusia pana Twardowskiego? Gdzie on mógł bawić?

SAMUEL Zgadłaś. Spotkałem przed apteką magistra Twardowskiego.

EWA Rozmawialiście, chodząc przed apteką, godzinę.

SAMUEL Rozmawialiśmy, chodząc przed apteką, półtorej godziny.

PANI FREUD Pan pozwoli: mój syn, Samuel.

STANISŁAW Cieszę się.

PANI FREUD Samuel, postaraj się zainteresować pana.

EWA Po co mamusia ma narzucać panu...pan może zmęczony.

STANISŁAW Broń Boże. Na pewno nie jestem zmęczony. Może się dowiem jeszcze czegoś ciekawego.

SAMUEL Dowiedział się pan może już czegoś?

PANI FREUD Pan jest siostrzeńcem doktora Przypkowskiego... Przepraszam, ja pójde odpocząć, dzieci mnie zastąpią. *(Wychodzi.)*

STANISŁAW Tak, dowiedziałem się. Dzięki umiejętnościom towarzyskim pańskiej matki — poznałem, przyjrzałem się kilku osobom.

SAMUEL Mianowicie?

STANISŁAW Komu ja się dzisiaj przyjrzałem? Najpierw dwóm kolejarzom, z których jeden był służbistą, a drugi sceptykiem. Gdyby nie sceptyk, służbista spóźniłby się do obowiązku. Potem przyszła pańska siostra. Przed chwilą przysłuchiwałem się rozmowie nauczyciela — z pańską matką.

SAMUEL No i co, ciekawe?

STANISŁAW No i nic. Antysemita. Nawet rzeczywiście trochę ciekawszy od innych...Potem dowiedziałem się czegoś o miejscowym aptekarzu.

EWA W jaki sposób?

STANISŁAW Przeszłogodzinna rozmowa na ulicy z zawodowym filozofem — coś to o człowieku mówi.

SAMUEL Z zawodowym filozofem?

STANISŁAW Dowiedziałem się czegoś i o panu..... A kto to rzeczywiście ten aptekarz?

SAMUEL Potomek Twardowskiego ze Skrzypna.

EWA Raczej Twardowskiego z Księżycy.

SAMUEL Bez żartów, Ewa.

STANISŁAW Twardowski, Przytkowski, a ja, żeby było śmieszniej, nazywam się Łaski.

SAMUEL (*zdziwiony*) Naprawdę?

STANISŁAW Naprawdę. A co? Zbiera pan może odpryski z nieudanej polskiej reformacji?

SAMUEL I to mógłbym robić, gdybym miał więcej wolnego czasu.

STANISŁAW A ten przeszłogodzinny spacer przed apteką?

SAMUEL To nie jest marnowanie czasu. Ale niech mi pan raczej powie coś o sobie. Są jeszcze ci Łascy? Wie pan przecież, że zmuszeni do emigracji za koncepcje powszechnego demokratyzmu i absolutnego pacyfizmu, udali się najpierw do Holandii, gdzie jeden z nich stał się prawodawcą Braci Polskich i holenderskiej reformacji. Potem znajdujemy ich w Anglii.

STANISŁAW Wiem, wiem, ale ja nie urodziłem się jako Brat Polski na obczyźnie, tylko jako syn aptekarza w Wielkopolsce. Ojciec mój podobnie jak magister Twardowski lubił łapać ludzi przed apteką i przez dwie czy trzy godziny trzymać w napięciu umysł swój i swego rozmówcy. Zwojował może mniej, niż tamci Łascy, ale w intencjach był równie silny. Fanatyk przyjaźni międzyludzkiej, filozof i filosemita w przeciwieństwie do waszego Sicińskiego...

(*Z oddali głos pani Freud.*)

PANI FREUD Samuel, Samuel.

SAMUEL Przepraszam, do obowiązków moich należy asystować matce przy wieczornych rachunkach.

(*Samuel wychodzi.*)

STANISŁAW (*Chodzi po izbie*) Ciekawi Ludzie. (*Staje przed oknem*) Ładny ten wasz rynek. Jakaś stara studnia...I pomnik. Czy to pomnik?

EWA Pomnik Kościuszki.

STANISŁAW Ta studnia dziwna.

EWA Ta studnia ma swoją legendę.

(*Przez chwilę milczenie. Z daleka wiejska melodia.*)

STANISŁAW Co, nawet to? Legenda. Chętnie posłuchałbym tej legendy.

EWA Mogę ją panu opowiedzieć, ale to opowiadanie będzie miało przykre zakończenie.

STANISŁAW Przykre?

EWA Przykry symbol naszych wzajemnych stosunków. Tych stosunków, które idealizuje na przykład moja matka. A właściwie wszyscy głupi Żydzi.

STANISŁAW O ile wolno mi zauważyć pani matka ma wcale niegłupią filozofię życiową. Nie sądzę, żeby ten idealizm płynął z czego innego, niż z długiej praktyki życia, t.zn. współżycia...Ale słucham tej legendy.

EWA Boję się, że pan się rozczaruje. Kto wie czy w innych miasteczkach polskich nie opowiadano już panu takiej samej...

STANISŁAW Nie zdarzało mi się często być w takiej sytuacji, jak dzisiaj. Zresztą bardzo ważne kto opowiada...

EWA Dziękuję panu.

STANISŁAW Proszę bardzo. O ile pani pozwoli, jeszcze jedna uwaga specjalisty. Nie ma opowiadania bez jakiegoś tonu, prawda?

EWA O, stanowczo pan za dużo ode mnie wymaga. Wiem, co pan chce we mnie wmówić. Nie zdobędę się chyba na poetyczny ton.

STANISŁAW Niech pani nabierze do mnie zaufania. Czy pani nie rozumie że i między nami są krytycy tych stosunków. Zresztą, o ile to naprawdę dla pani przykre, porzućmy ten temat, nie ruszajmy tej legendy.

EWA E, nie. Musi się pan koniec końców czegoś dowiedzieć, skoro aż tyle było wstępów.

Przez chwilę cisza, muzyka w oddali wyraźniejsza.)

EWA Słyszysz pan, gdzieś w dali grają.

STANISŁAW Słyszę.

EWA O, ma pan już aż tyle. Widok, który pan pochwalił, odgłosy, które pan na pewno lubi... Zresztą trudno zaprzeczyć, to lubię i ja.

STANISŁAW Co pani lubi przede wszystkim?

EWA Przede wszystkim lubię myśl. Myślących ludzi.

STANISŁAW Co by pani zrobiła, gdybym to wziął za komplement dla siebie?

EWA Utwierdziłoby mnie to w przekonaniu, że jest pan myślącym człowiekiem... Ale o czym innym mieliśmy mówić.

STANISŁAW Pani miała mówić.

EWA Kiedyś, przed laty odbywał się w miasteczku latający festyn. Karnawał zimowy, czy wiosenny. I tego nikt dokładnie nie wie. Było to w każdym razie w czasie, kiedy Polacy lubili ponad wszystko taniec i muzykę. Takie festyny z biegającą muzyką odbywają się i teraz. Ale teraz to już nie ma charakteru — teraz to jest już zwykła, powszechnie praktykowana zabawa z foxtrottem i tangiem przede wszystkim. To, cośmy słyszeli przed chwilą, to nie było tango, ale to są już melodie coraz rzadsze.

STANISŁAW Wiatr przyniósł nam ten ton, jakby tylko dla naszych celów właśnie.

EWA Pewnie, że jest w tym jakaś dzika, groźna poezja kontrastu. Pan to zobaczy i tak może oceni tylko. Rynek małego miasteczka — spotkanie dwóch światów. Łagodni zwykle Polacy, podnieceni wódką i muzyką — ponury, czarny Żyd, wracający z modlitwy, która u nas nie jest łagodna. A więc właśnie było tak. Muzykanci i tancerze wracający, a może przechodzący tylko z jednej gospody do drugiej, spotkali przy studni wracającego z modlitwy hasyda. Otoczyli go kołem, zagrali, żeby tańczył i śpiewał. A kiedy próbował się bronić tym bardziej chcieli od niego tego, czego właśnie nie mógł. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, że skoro nie chce tańczyć, niech zaśpiewa swój majufes. Tego tym bardziej nie chciał uczynić. Wtedy wrzucili go do studni, grożąc, że jeśli i tam nie zaśpiewa — nie wydobędą go z wody. Na chwilę przed śmiercią wydobyl z siebie śpiew, a może tylko krzyk grozy. Muzycy z łagodnego narodu przerazili się i uciekli, nie chcieli słuchać tej strasznej pieśni. Żyd w studni utonął, a może umarł z zimna, zanim przyszła pomoc. Odtąd w sobotni wieczór ze studni dobywa się wyraźny śpiew. Nie słyszałam tego śpiewu, ale to widzę codziennie, nikt ze studni wody nie czerpie. Jest to zresztą bardzo stara studnia, wody już w niej niewiele.

STANISŁAW Teraz by się już nikt w niej nie utopił...

EWA Tego nie wiem.

(Wchodzi pani Freud.)

EWA Jeśli pan chce, możemy obejrzeć tę studnię z bliska.

PANI FREUD Ewa, idź, pokaż panu kościół, pomnik Kościuszki, cudowną figurę św. Józefa. Co ty będziesz panu pokazywać studnię?

STANISŁAW Chciałaby pani naprawdę przejść się ze mną?

EWA Chodźmy.

(Wychodzą. Pani Freud patrzy przez okno za wychodzącymi.)

PANI FREUD Poszli. Dlaczego ja mam widzieć w każdym wroga... Idą przy sobie. Ja już widzę przyjaciela.

(Wchodzi mała dziewczynka.)

DZIEWCZYNKĄ Pani Freud, pani pozwoli trzy płaskie.

PANI FREUD Dla kogo, dziecko, trzy płaskie?

DZIEWCZYNKĄ Dla tatusia, pani Freud.

PANI FREUD A pieniądze masz dobrze?

DZIEWCZYŃKA Proszę.
PANI FREUD (*liczy*) Dobrze.
DZIEWCZYŃKA Dobranoc.
PANI FREUD Idź z Bogiem, dziecko.

(*Dziewczynka wychodzi.*)

(*Pani Freud znowu przy oknie.*)

PANI FREUD Zmierzch. Niewiele widać. Ale oni stoją przy studni.
Głupia Ewa. (*Po chwili*) Poszli wreszcie...Śliczny wieczór.

KURTYNA

OSOBY DRAMATU:

EWA FREUD
STANISŁAW ŁASKI
SICIŃSKI
TWARDOWSKI, aptekarz (*lat 50*)
PRZYPKOWSKI, lekarz (*lat 50*)
BURMISTRZ
GOSPODYNI DOKTORA
DOZORCA DOMU
TŁUM MIESZCZAN
CHÓR DEWOTEK
PATROL NIEMIECKA

AKT I

Mieszkanie lekarza w małym miasteczku. Pierwszy dzień świąt Wielkiejnocy 1943 roku. Pokój jadalny — stół nakryty według tradycji.

DOKTÓR (*wychodzi naprzeciw Stanisławowi*) I ja przed chwilą wróciłem. Powinnowałem proboszczowi. Teraz pewnie do mnie przyjdą. A ty gdzie byłeś Stasiu?

STANISŁAW Obszedłem sobie miasteczko. Piękny wieczór. Odetchnąłem.

DOKTÓR Nie poblądziłeś? Ciemno już prawie.

STANISŁAW Już tu kiedyś spacerowałem po tych uliczkach. Wtedy, gdy byłem tu przed pięciu laty. W trzydziestym ósmym roku. Teraz czterdziesty trzeci. Tak. Prawie pięć lat temu. Oprowadzała mnie przyjemna dziewczyna.

DOKTÓR Dziewczyna?

STANISŁAW Córka restauratorki. Byliśmy i przy studni, przy tej legendarnej studni.

DOKTÓR Legendarnej? A, prawda. Tak. Opowiadają tu taką legendę o tym utopionym w studni Żydzie...Teraz Żydzi będą mieli inne, godniejsze legendy.

STANISŁAW Będą...będą...Trzeba na to samemu popatrzeć, żeby uwierzyć w te okropności. Tutaj i mnie się wydaje, że to wszystko nieprawda, że to wszystko gdzieś bardzo, bardzo daleko.

DOKTÓR A jak w mieście? Myślę na zewnątrz murów, u nas?

STANISŁAW Senna, zgniła cisza. Trochę tak, jakby się wszyscy tego spodziewali, nikt się właściwie nie dziwi, a niektórzy nawet się cieszą...

Jak jest w Warszawie? Życie płynie normalnie. Na Placu Krasińskich urządzają właśnie powoli wesołe miasteczko, karuzela, huśtawki. Niedługo to wszystko pójdzie w ruch. Od czasu do czasu ludzie uciekają z placu, ożywia się akcja na tym odcinku — owszem, na Miodowej można po tym poznać, że tam się jednak coś dzieje...W nocy wśród nas jest inny strach. Że się znowu zaczną dónósy, rewizje... Ten najgorszy, zgnili strach,

Człowiek boi się człowieka, człowiek boi się pomagać człowiekowi, wszędzie prowokatorzy, donosiciele, szantażyści...A na zewnątrz jest niby normalnie.

DOKTÓR Tak, tak, dużo i naszej podłości. Ano, co robić. Jesteśmy i my narodem nieszczęścia. Z niego wszelkie zło i wszelka podłość. Cieszę się, że sobie tu trochę odpoczniesz.

STANISŁAW Tak, to mi dobrze zrobi.

DOKTÓR Gdyby ci moi goście chcieli cię zanadto męczyć pytaniami, uciekaj sobie śmiało do tego pokoju obok. Do swego pokoju. Z konwenansami nie potrzebujesz się liczyć.

STANISŁAW Ten spacer dobrze mi zrobił. Byłem w tych uliczkach bocznych koło kościoła. Ładny kościół. Macie dwa pomniki nawet.

DOKTÓR Takie tam i pomniki.

STANISŁAW Ten Kościuszki jest wcale niezły.

DOKTÓR Fundacja naszego aptekarza. O, nasz aptekarz wielki demokracja i wielki oryginał. Człowiek na dużą skalę. Poznasz go na pewno dzisiaj.

STANISŁAW *(Staje przy otwartym oknie)* Jaki spokój. Oddycham nareszcie.

DOKTÓR Zjadłbyś coś może?

STANISŁAW Nie, nie, jeszcze nie mogę.

(Pukanie do drzwi.)

DOKTÓR Oho, idą goście...

(Wchodzi magister Twardowski.)

TWARDOWSKI Doktorze, ja tylko na chwileczkę. Wszystkiego najlepszego przy tej Wielkiejnocy. Daj Boże, by to była noc ogólnego przebudzenia.

(Wymiana uścisków.)

TWARDOWSKI Doktorze, bo podlejemy w straszny sposób. Tam w Warszawie dzieją się rzeczy...

DOKTÓR Mój siostrzeniec Łaski z Warszawy. Literat.

TWARDOWSKI Bardzo się cieszę, szkoda, że nie mam dużo czasu, bo porozmawialibyśmy trochę. Ładne historyczne nazwisko pan nosi. Szkoda, że nie mam dużo czasu, bo ta historia jest mi bardzo bliska.

STANISŁAW I jabyłem chętnie z panem porozmawiał. Słyszałem już o panu.

TWARDOWSKI Łaskawości doktora, zawdzięczam.

STANISŁAW Nie tylko.

TWARDOWSKI Szkoda, że nie mam dużo czasu. Więc co? Straszne to, co się w Warszawie dzieje?

STANISŁAW Straszne.

TWARDOWSKI Mam na myśli głównie naszą reakcję.

STANISŁAW Jest rozmaita.

TWARDOWSKI Ale obnaża na ogół za dużo podłości.

DOKTÓR Może, gdyby to było w innym czasie...No, chociaż kieliszek z nami. Za pomyślność sprawy...Ich i naszej sprawy...

(Piją.)

TWARDOWSKI To rzeczywiście piękne nazwisko. Połączyło się i z pięknym zawodem. Bo widzi pan, ja mam dosyć duże studia nad polską reformacją. Szkoda, że nie mam czasu. *(Rozgląda się uważnie po pokoju.)*

DOKTÓR Jesteśmy sami.

TWARDOWSKI *(innym głosem)* Tu u nas ma być tak...Jeszcze się waha. Ale gdyby rzeczywiście jutro wartę przy drutach przejęli szaulisi, to znaczy, że nie ma na co czekać. Będzie przebiecie na radzyński trakt i do lasu. W lesie połączą się z innymi aktywami i razem mogą pomóc przebijającym się z Warszawy...Razem mogą zrobić wielki krzyk...Cicho.

STANISŁAW I tutaj ma coś być?

TWARDOWSKI Tam, gdzie nie będzie innego wyjścia.

DOKTÓR Usiądźmy spokojnie.

TWARDOWSKI Nie, już idę.

DOKTÓR Posiedziałyby magister, odpoczął. Ciągłe tylko te czyjeś sprawy. Pogadaliśmy sobie. Przyjdzie Siciński.

TWARDOWSKI Siciński? Nie mogę znieść tego sceptyka...Kazałem mu przestudiować Konstytucję 3 Maja, Konstytucję, którą spaczyli endecy i na której chcą budować swój nacjonalizm. (*W stronę Stanisława.*) Nie jest tak? Wszystko, co w naszej historii wielkie i twórcze, zrodziło się z przezwyciężenia nacjonalizmu: unia, adoptacja, tolerancja, krzyżowanie, odsiecz, misja. Nie ma ani jednego wielkiego Polaka, który byłby tylko Polakiem...Łaski, piękne nazwisko. W Anglii trochę tak brzmi i tak się przyjęło, jak u nas Szopen...Szopen przez S z. Szkoda, że nie mam dużo czasu...Ale przecież spotkamy się jeszcze.

(*Pukanie do drzwi.*)

TWARDOWSKI Zmykam.

DOKTÓR Jeszcze chwileczkę, ktoś idzie.

TWARDOWSKI Właśnie dlatego. Muszę. Przedłużyłoby się to wszystko.

(*Wychodzi. W drzwiach mija się z Sicińskim.*)

SICIŃSKI (*Po przywitaniu z Doktorem*) (*W stronę Stanisława*) Z panem się jeszcze nie znamy.

DOKTÓR No i cóż profesorze, jak tam święta?

SICIŃSKI Cóż święta? Wszystko pod znakiem Warszawy. Na niebie luny.

(*Znowu pukanie do drzwi.*)

DOKTÓR O, to pewnie burmistrz.

(*Wchodzi burmistrz, komiczna figura. Grubas, z dawkowym.*)

BURMISTRZ Aaa, wszystko tu u kochanego doktora, jak za dobrych czasów. (*W stronę Stanisława*) Nawet gość z szerokiego świata.

DOKTÓR Mój siostrzeniec z Warszawy.

(*Powitania.*)

BURMISTRZ Święta bez gości, to tak, jak ryby bez ości (*śmieje się ze swego dowcipu*).

DOKTÓR A propos ryb. Możeby panowie przeszli tu bliżej, do stołu. Będzie i rybka dla burmistrza.

BURMISTRZ Doskonale, doskonale. Spróbujemy, spróbujemy. Ocenimy.

SICIŃSKI Dziękuję, dziękuję. Ja już niebardzo mogę.

BURMISTRZ Jak za dobrych czasów, co?

DOKTÓR Tak, dla naszczasu nie są jeszcze najgorsze...Tam dzieją się straszne rzeczy.

SICIŃSKI Nie tylko straszne, ale i ważne.

DOKTÓR Pewnie, że ważne. Co pan chciał przez to powiedzieć?

SICIŃSKI Ważne w skutki, myślę, oczywiście dla nas.

DOKTÓR No pewnie, to wszystko może przyspieszyć koniec wojny (*w stronę Stanisława*) Jak ci się zdaje?

STANISŁAW (*Kiwa głową sceptycznie*).

SICIŃSKI Nie o to chodzi. To rozwiąże wreszcie nasz najważniejszy problem wewnętrzny...Sprawa żydowska.

DOKTÓR Dla mnie to nigdy nie był ważny problem. Dziwię się panu, że pan w tej chwili...Dziś jestem całą duszą z nimi. Nigdy nie byłem antysemitą. Nigdy nie uznawałem takiej ważności.

BURMISTRZ Panowie, panowie...Za dużo polityki przy jedzeniu (*Harczę*) Hhrrr...cholera, ość. Ość nie w porę gorsza od tatarszyna.

(Znowu pukanie do drzwi.)

BURMISTRZ Tutaj ość, a tam gość...

(W otwartych drzwiach słyhać obcy głos.)

GŁOS Pana burmistrza...

BURMISTRZ Po mnie ktoś.

STANISŁAW Ość, gość i teraz wreszcie ktoś.

BURMISTRZ Pan jest rzeczywiście poetą.

DOKTÓR Wzywają pana służbowo.

BURMISTRZ Ano trudno. Służba nie druźba. Doktorze, ryba była przednia, chociaż zwykły szczupak. Tych grubych ryb, które mnie wzywają nie kocham... Coś się tu jednak i u nas święci. W pierwszy dzień świąt, no, no... (Żegna się i wychodzi).

DOKTÓR Więc, wracając do naszej rozmowy, myślę jednak, że to może przyspieszyć ogólne wyzwolenie. Żydzi mają na świecie lepszą dyplomację od naszej. Nareszcie może świat zacznie żywiej reagować. (W stronę Stanisława) Jak myślisz?

STANISŁAW (Sceptycznie) Tak. Chociaż nie można chyba tego przeceniać.

SICIŃSKI Naturalnie, że doktor przecenia. Nam się zdaje, że oni to już jednolita, solidarna masa. A tymczasem i tam jest podział, i tam jest wewnętrzna polityka. Ci nasi Żydzi pójdą na ofiarę. Kto naprawdę ważny, ten już się wydostał stąd. Tam u nich interes najważniejszy, wytrzymać musi drogą eliminacji. Oni potrafią być okrutni, bezwzględni dla samych siebie także. A ratują interes przez duże I, nie licząc się z ofiarami.

DOKTÓR Ja myślę o czymś zupełnie innym. To jest powstanie ludu, proletariatu, który ma swoje stosunki w świecie. Na sztandarach mają "za naszą i waszą wolność". Tak samo, jak my kiedyś, tak samo, jak my niedługo. Znowu. To jednak może przyspieszyć.

SICIŃSKI Na pewno doktor przecenia.

DOKTÓR To jest poza tym przebudzenie.

SICIŃSKI To nie będzie miało żadnego znaczenia, prócz tego, że ureguluje nasz problem wewnętrzny. W tym jedynie nasz czysty profit.

STANISŁAW Czy można wiadomość o takim zysku przyjąć bez wstydu.

SICIŃSKI Proszę pana, ani polityka, ani historia nie zna sentymentu. Polityki nie mierzy się humanitaryzmem.

DOKTÓR Zaraz.

SICIŃSKI Dopóki humanitaryzm nie stworzy własnej siły, własnego heroizmu, nie ma prawa mieszać się, nie ma prawa przeszkadzać w działaniu... Dzisiaj dla nas wszelki humanitaryzm będzie dywersją w instynktowym działaniu narodu.

DOKTÓR Po cóż pan w tę sprawę miesza nasz naród? Jeśli mieszymy się w te sprawy, to chyba nie po stronie zbrodni...

STANISŁAW Zresztą czy pan myśli, że nasz naród w swoich instynktach nie ma nic prócz egoizmu?

SICIŃSKI Owszem, ma, i dlatego nie może sobie nawet sam z sobą poradzić.

(Wchodzi gosposia doktora.)

GOSPOSIA Przychodziła tu do pana doktora młoda Freudówna.

DOKTÓR O, panna Ewa była.

SICIŃSKI Patrzenie.

GOSPOSIA Nic dobrego z tego przychodzenia dla nas nie wyniknie.

DOKTÓR Cóż dziwnego, biedaczka chce się ratować.

GOSPOSIA Powiedziała, że na nich ostatni czas. Trudno — każdy musi wedle siebie. Powiedziałam, że nie może do nas przychodzić.

DOKTÓR Pewnie. Bezpieczne to dla nas nie jest...Tym bardziej, kiedy się nie może wiele pomóc...Trochę to i niebezpieczne.

SICIŃSKI Ee, znowu bać się nie ma czego. My rzeczywiście teraz zanedo się wszystkiego boimy.

DOKTÓR Pewnie. Może i bać się nie ma czego.

GOSPOSIA Pan doktor w nic nie chce wierzyć. A mało to u nas donosieli. Niech kto podpatrzy. Polecą na żandarmerię, powiedzą Bóg wie co.

DOKTÓR E, tak zaraz nie polecą.

SICIŃSKI To jest sprytna dziewczyna. Nie da się podpatrzeć.

DOKTÓR Sprytna i przyjemna dziewczyna. Cała rodzina taka mądra.

STANISŁAW Czy to mowa o córce restauratorki?

DOKTÓR Właśnie. Porządna rodzina. Tyle mi zawsze życzliwości okazowali...I teraz co? Nic im pomóc nie będzie można? Strach pomyśleć, że się to i do nas zbliża. Póki to gdzieś jeszcze dalej...Ale tutaj swoi ludzie. Nie żaden problem wewnętrzny, ale po prostu najbliżsi sąsiedzi, nie żadni Żydzi, ale tacy sami ludzie jak my. Tuśmy razem od dziecka ze starą Freudową. Z domu Rózia Margules.

GOSPOSIA Umarła przedwczoraj.

DOKTÓR Umarła przedwczoraj.

(*Pukanie do drzwi [innych]. Gosposia wychodzi, za sceną podniecona rozmowa.*)

GOSPOSIA (*wracając*) Przyszła znowu, co z nią zrobić?

DOKTÓR Jak to co z nią zrobić? Niech ją gosposia tu wprowadzi. Pójdę sam (*wraca jednak od drzwi, spoglądając na Stanisława*). Staś, po co ty się masz denerwować, ty przyjechałeś tu odpocząć, idź do swego pokoju.

STANISŁAW Rzeczywiście, może będę przeszkadzał (*patrzy nieufnie w stronę profesora, tamten nie patrzy*). Pójdę.

(*Ewa wchodzi.*)

EWA Panie doktorze...(*zauważa Sicińskiego*) O, ja naprawdę przeszkadzam. Ale ja jestem...Mnie już wszystko jedno. Panowie to muszą zrozumieć.

SICIŃSKI Rozumiemy.

DOKTÓR Doskonale rozumiemy. Tylko cóż. Chciałoby się wam pomóc, ale jak?

EWA Panie doktorze, wszystko jest lepsze, niż takie życie. My tam ani dnia dłużej nie możemy zostać. Przyjmijemy każdy sposób.

DOKTÓR Każdy sposób?

EWA Każdy sposób...Co ja mówię? Tak, to nie ma żadnego sensu. Nie ma żadnych sposobów. Przekłęci. Przekłęci — za co?

DOKTÓR Niech się pani uspokoi. Spokojem może dojdziemy do czegoś (*spogląda w stronę Sicińskiego*) Co, profesorze?

EWA Panowie pewnie jeszcze nie wiedzą o wszystkim? Jutro lub pojutrze ma być zupełny koniec. Jeszcze tylko tyle czasu zostało.

SICIŃSKI Niedużo zostało czasu...A może jeszcze mniej. A, rozumiem teraz po co wzywali burmistrza.

EWA Panie profesorze, moja matka mówiła zawsze...Chociaż pan, chociaż pan...(*wybuch płaczem*) Stracony, przeklęty nasz los. Nie od dzisiaj...I pan miał rację, wszyscy mieli rację...

SICIŃSKI Niech się pani uspokoi. Można jeszcze spokojnie pomyśleć.

EWA Tak, trzeba spokojnie myśleć. Tak, ja już spokojnie myślę. Trzeba spokojnie. Przepraszam. Ja już jestem spokojna.

DOKTÓR A więc profesorze, gdyby, tak myśleć, tu nie mogą zostać. Czy pani nikt nie widział tutaj koło naszego domu?

EWA Panie doktorze, ja umiem takie rzeczy robić. Nikt. Mro est zupełny.

SICIŃSKI Nie trzeba przesadzać. Boimy się zanedo rzeczy nieistotnych.

DOKTÓR Radźmy więc. Gosposiu, niech gosposia przyniesie herbaty. Trzęsie się, biedactwo.

GOSPOSIA Herbaty, owszem, można. Ale z tego nic dobrego dla nas nie będzie.

DOKTÓR Gosposiu.

GOSPOSIA Czy ja co mówię? Przecież ja nic nie mówię — powiadam.

DOKTÓR Gosposiu, po chrześcijańsku.

GOSPOSIA Księża też przecież rozmaicie.

DOKTÓR Księża, księża...Księża nie są wzorem chrześcijaństwa. Chrystus jest jedynym wzorem.

GOSPOSIA Żydzi ukrzyżowali Chrystusa.

DOKTÓR I my go krzyżujemy takim gadaniem.

EWA Żydzi...Żydzi...

SICIŃSKI Niech nam pani gospodyni nie przeszkadza myśleć. Sama pani nic nie wymyśli, ani w tę, ani w tamtą stronę.

GOSPOSIA Nie wymyśli. Patrzcie, nie wymyśli. Czy to pan jest mój pan, żeby pan na mnie krzyczał? Nie wymyśli, nie wymyśli...A przecież nie ma innej rady. Tu nie mogą zostać. Z miasteczka muszą uciec. Do dużego miasta. W dużym mieście jest się gdzie schować.

DOKTÓR W dużym mieście jest się gdzie schować.

SICIŃSKI Naturalnie, tylko w dużym mieście. Jeśli tu będzie jakiś opór...nikt się tu nie ukryje. Ale ja w ten opór nie wierzę.

GOSPOSIA I tak się nikt nie ukryje.

DOKTÓR Niech gosposia tak dużo nie mówi. Herbaty, mówiłem, przynieść.

GOSPOSIA A czy ja co mówię? Powiadam. (*Wychodzi.*)

DOKTÓR Pewnie, kto się boi, to się boi. Ja tam o siebie się nie boję. Tyle tylko, że tutaj nie miałoby żadnego sensu. Tu się nikt znany w miasteczku ukryć nie może. Trzeba dziś lub jutro w nocy uchodzić cichcem.

EWA Dokąd? Jest takie wyjście?

SICIŃSKI Jeśli pani tu przyszła, to znaczy, że jest wyjście. Można iść dalej. Dawno trzeba było iść. Zawsze mówiłem.

EWA Dokąd? Dokąd?

(*Gosposia wchodzi z herbatą.*)

GOSPOSIA Ano do dużego miasta. Do Warszawy.

DOKTÓR Macie kogoś życzliwego w Warszawie?

EWA Boże, czy dziś można wiedzieć kto jest naprawdę życzliwy?

SICIŃSKI Niech pani dobrze poszuka w myśli, może ktoś jest.

DOKTÓR Niech pani przecież nie wątpi. Przez dzisiejszą noc można wszystko ułożyć...Najlepiej byłoby tak. Jutro o zmierzchu dojść do radzymińskiego lasu. Nad ranem przyjedziemy bryczką...Przejechać przedziemy.

SICIŃSKI Najważniejsza rzecz: kwatera w Warszawie. Teraz niech pani idzie, przygotuje brata. Przypomnijcie sobie wszystkich znajomych. Policzcie wszystkie pieniądze. I jednym i drugim trzeba teraz ruszyć. Stosunkami i ludźmi, nie tylko od serca — takich dużo nie ma.

EWA Nie mamy, nie mamy. Matka miała.

DOKTÓR Przede wszystkim trzeba zdobyć sobie jakiś przyczółek.

SICIŃSKI Tak, jakieś chwilowe zatrzymanie. Na kilka dni. Potem już się trafi na ludzi, którzy robią takie rzeczy za pieniądze. Pieniądze macie na pewno?

EWA Jeszcze trochę mamy.

DOKTÓR A więc do jutrzejszego wieczoru trzeba zdecydować.

EWA To ja tu jeszcze jutro przyjdę.

DOKTÓR Tak. Czekamy, jutro wieczorem. Niech pani jeszcze pomyśli.

EWA Pomyślę, pomyślę...Ale cóż ja sama mogę wymyślić.

DOKTÓR Niech się pani trzyma naszego planu. My z profesorem odwieziemy was do Warszawy. A więc jutro wieczorem u mnie. Już razem z Samuelem.

EWA U pana doktora. Dobranoc. *(Wraca od drzwi)* A co będzie jeśli Samuel się nie zgodzi?

DOKTÓR Musi się zgodzić. Innego wyjścia nie ma.

EWA Innego wyjścia nie ma?...A on coś spiskuje...innego...

SICIŃSKI Chyba żeby chciał gubić i siebie i panią, i całe nasze miasteczko. Ale niech się pani nie boi, tego nie będzie. Chyba w imaginationsi magistra Twardowskiego.

EWA Innego wyjścia nie ma. Tak. Tak...Tylko przez ten dom. Matka miała rację.

(Wychodzi.)

GOSPOSIA Pan doktor chce rzecz zrobić sumiennie. Naraża się. A bo to Żydzi mają sumienie?

DOKTÓR Znowu gosposia zaczyna.

GOSPOSIA No bo przecież...Żydy by nas ratowały?

DOKTÓR Mało dobrego doświadczyliśmy od starej Freudowej?

GOSPOSIA Zła nie była, nie powiem.

DOKTÓR No to niech już gosposia nic nie mówi.

GOSPOSIA A bo ja co mówiłam.

(Wychodzi.)

DOKTÓR Stasiu, Stasiu. Może i ty nam coś poradzisz. Przyjdź tu.

(Stanisław wchodzi bardzo podniecony.)

STANISŁAW Boże, Boże. Że też nigdzie nie można mieć spokoju. Co za przekłety czas. Jak wyjść z niego? Jak z niego wyjść? *(Wybuch)* Nie, nie wuju. Nie, ja nie chcę, niech mnie wuj do tego nie namawia. Ja nie mogę. Ja przecież nie mogę ciągle. Ja teraz mam swój zły okres. Dajcie mi spokój, dajcie mi spokój. Dajcie...

DOKTÓR Co tobie? Przecież ja nic od ciebie nie chcę. Co z tobą, chłopcze?

STANISŁAW Nie, nie, ja nie mogę. Ja teraz nie mogę.

DOKTÓR Chcieliśmy od ciebie zwykłej rady. Tak mi się powiedziało, żebyś nam coś poradził. Ale to tylko tak sobie.

STANISŁAW Ja wiem, ja wiem co pan miał na myśli. Tak, ja mógłbym. Ja mógłbym przechować nawet...nie tylko przez kilka dni. Ale ja nie mogę. Ja nie chcę. Dajcie mi święty spokój. Ja tu przyjechałem odpocząć.

SICIŃSKI Ja nic takiego nie miałem na myśli.

STANISŁAW Tak, ale pan się ze swego nie cofnie, pan się nie boi. A ja nie mogę, ja nie chcę. Wy jeszcze nie wiecie co to jest ta Warszawa. Co tam się dzieje i co tam się jeszcze będzie działo. Ja tu przyjechałem odpocząć. Pan się nie boi, a ja się boję. Ja się muszę bać. Tam wszędzie straszy. Tam są straszne rzeczy. Wy jeszcze tutaj nie wiecie co to są Niemcy.

SICIŃSKI Pan jest przewrażliwiony. Ja nic nie miałem na myśli.

DOKTÓR Tak, synku, pan profesor nic nie miał na myśli. Panuj nad nerwami. Dam ci czegoś.

STANISŁAW Ja już nie mogę panować...Ten...ten...jakiś zgnity czas. Wszędzie to samo. Boczne furtki, cichaczem o zmierzchu...i ciągle małe osobiste próby, i ciągle mały, zgnity strach, i ciągle wielki wstrętny niesmak... Żeby coś nareszcie powszechnego. Żeby już dla nikogo nie było bocznego wyjścia. Żeby już nikt nikomu cichcem nie potrzebował pomagać, żeby już jedni nie byli w lepszej, a drudzy w gorszej sytuacji. Boże, żeby wszyscy mogli walczyć. Żeby wszyscy mogli krzyczeć, żeby wszyscy mogli bać się otwarcie. *(Po chwili)* Ja wiem co pan profesor miał na myśli. Ja mógłbym, ale ja już teraz nie mogę, nie zawsze można.

DOKTÓR Pewnie. Jesteś w złej kondycji nerwowej. Przyjechałeś odpocząć, a tu takie rzeczy. Nie możesz od tego uciec.

STANISŁAW Żeby naprawdę nie można było uciec. Ale zawsze, zawsze jest to podle wyjście. Każdy się może wytłumaczyć. Wuj mnie tłumaczy, tłumaczy, tłumaczy...A pan mną będzie...

SICIŃSKI Ja nic nie będę. I najlepiej będzie jak sobie pójdę, a pan się uspokoi. I niech pan nic sobie nie wyobraża. Pan się nie powinien narażać. Pan jest młody, wybitny. Pan się może i nam przydać w lepszej, ważniejszej chwili. Dobranoc, doktorze.

(Wychodzi.)

DOKTÓR Uspokój się, oni sobie coś znajdują. Przepraszam cię za to wszystko. Masz słabe, wrażliwe nerwy.

(Dłuższe milczenie.)

DOKTÓR Twoja matka, to było też słabe, chorowite dziecko. Boże, twoja matka. Nasza młodość. Cicha, spokojna wieś. Gdzie te czasy? Wtedy, dziecko, zawsze można było gdzieś uciec. Był zawsze gdzieś spokojny kątek. Takie miasteczko, jak to — było gwiazdą na firmamencie. Nietykalne. Wieś tylko pod opieką opatrności.

STANISŁAW Gwiazda na firmamencie.

DOKTÓR Nietykalna...

STANISŁAW Spokój jak w gwiazdach. A tak dobrze mi dziś było. Byłem sobie i przy studni, i przy kościele...Wuju, a jakie to drzewa przed kościołem?

DOKTÓR Strzyżone.

STANISŁAW Rajskie jabłonie?

DOKTÓR Nie wiem, dziecko.

STANISŁAW Rajskie jabłonie...Ładna, miła dziewczyna.

KURTYNA

SEWERYN POLLAK

LIST DO PRZYJACIELA

Pamięci Franciszka Siedleckiego

Szumiały dni przerażeń rozpostarte
nad wiosną niby chmurna pajęczyna.
Przed domem wiąz żalostną pełnił wartę,
a chmury szły z zachodu, jak przyczyna
wojny. Czas się rozczynał powoli
w kadzi majaczeń, a niebieskość nieba
szarzała, w niebie tym słońce niewoli
tkwiło jak bochen spieczonego chleba.
Zieloność drzew nie mogła dać oddechu,
bo w roku tym tak wiosna ociągała
przyjście, że sądzić można było: z grzechu
zrodzona, w miechu gradowym skonała.
Dach chmur rozdarty prześwitywał bladym,
wilgotnym blaskiem, rój białych motyli,
zwiądły na drzewach, skłębionym opadem
trzepotał w brzoźdy zbiorowej mogile.
Czerwiec kwitł czerwim. W zieleni głębokiej
malin chodziliśmy cisi po ścieżkach —
niepokój w żyłach liści krążył z sokiem,

pędami wzrastał i pośród nas mieszkał.
Pomiędzy nami cichy gołąb smutku
nie latał. Plotka jaskółczanym lotem
krążyła nisko, ćwierkając cichutko,
goniąc za gęstym komarów opłotem.
Plotka łowiła na wpół żywe słowa,
słowa krążyły w komarowej sieci —
i tak nad nami tęcza komarowa
gaśła od skrzydeł, aby znowu świecić.

Przeczyłeś: skwir jaskółczy to nie fakty,
a faktów bieg — to nie jaskółcze loty!
Lecz z oczu nam już zdzierał katarakty
nieustający w marszu krok piechoty.
Artyleryjskie jaszczki bardziej jeszcze
grzechotem na wybojach przytwierdzały
o przyszłych bojach prawdę — całą przestrzeń
powietrza wypełniały przyszłe strzały,
aż głuchły w słupach pyłu, przygniecione
nagłą ulewą, a chmur bure kłęby
krokami barbarzyńcy gniotły zręby
zmarzwiałej ziemi, i z kolei one,
pędzone wichrem, zwierzały się w pędzie
i błyskawicą wieńczyły czub sosny:
tak więc nikt nie mógł pozostawać w błędzie
i innych znaków żądać od tej wiosny.

Maszerujący las w okno otwarte
na piętrze wchodził szelestem gałęzi —
czekałeś zaczajony, by uwięzić
miękki szmer igieł, by wciągnąć na kartę
katalogową trocheiczny dygot
wiatru, a gwiazda nad domem świecąca,
wtopiona w niebo koloru indygo,
świeciła na kształt małego słońca.
To było doświadczenie. Rzeczywistość
spływała z chmury blaskiem rozproszonym
i chłodną mgiełką. Wdychałeś tę mglistość —
i niech to będzie gwieździe owej wybaczone.

Aż dnia pewnego na niebie wysokiem
w południe inna zaświeciła gwiazda:
mała, ledwo widna gołem okiem,
na zachód szybko biegła, a jej jazda
przez tarcze nieba była kometowym
lotem podobna, tak że bez wątpienia
czas dzielić można było na połowy:
do jej zjawienia i od jej zjawienia.

O męstwie, bohaterstwie i o sławie
zapominało się na gorzkiej ziemi.
Spęcniaste słońce nie świeciło prawie,
lub promieniami świeciło blademi
przez tęczę mgieł, błyszczącą niby pawie
pióro, osiadła nisko na akacjach —
póki dnia tego w drzemiącej Warszawie
mgły nie rozwiła pierwsza detonacja.
I spadła rosa, i rzadkie powietrze

do płuc zaczęło docierać jak zwykle,
bośmy sądzili dotąd, że ta przestrzeń,
co nas otacza, zwięża się i niklej
coraz oddycha, aż kiedy od razu
zaczępnęliśmy powietrza jak z dzbana —
odetchnęliśmy wichrem od Kaukazu
aż po swobodne wody oceanu.

O słowie, bohaterstwie i o męstwie — —
Leżałeś pod modrzewiem, a znużone
bombowce powracały, o zwycięstwie
propellerami szumiąc. Ocienione
ich skrzydłem czoło pochylałeś z troską,
lecz z dumą spoglądałeś w t a m t ą stronę
z twarzą spokojną, zastygłą jak w wosku
w jednym wyrazie i uspokojone
oczy zwracałeś na kartę Dickensa:
co ludzkie zawsze w ludziach będzie trwało,
więc pozwalałeś myślom się wałęsać,
wątpienie bowiem pewność potwierdzało.

W deszczu się ptaki pławiły i w śpiewie
i wiatry drzewa pozdrawiały szumem —
myślą zrosnięty z myślnych ludzi tłumem,
wiedziałeś, chociaż mówiłeś, że nie wiesz.
A chmury były tak ciężkie jak troska,
a troska była cięższa od kamienia —
nie rozjaśniła się nam noc gołkowska
od jedyne go gwiazdy pojawienia.
Zwątpienia jednak nie znał nikt, choć czasu
cofnięty zegar korę dni rozbijał,
ptak tylko jakiś jednostajnie z lasu
wołał bez przerwy: prze-mi-ja, prze-mi-ja.

Szukać w poezji, czego się nie może
odnaleźć w życiu: harmonii, w budowie
strofy, w średniówce dopatrzeć się złożen
tych praw, na których byt buduje człowiek,
i widzieć, jak się wstrząsa ta budowa.
transakcentacji dziejów śledzić kroki,
i wiedzieć, że są takie ważne słowa,
na które akcent paść musi — wysoki
to trud, wysoka rozterka, więc nie dziw,
że trudno było z tym w głuszy Gołkowa
i trudno było bieg wydarzeń śledzić,
troskę zagłuszyć i pewność zachować.

— Na białym koniu jechał raz młodzieniec
i boską iskrę natchnienia miał w oku.
A obok Piękna Dama. I gwiazd wieniec
poezji świecił nad nimi. O Błoku
kiedyś pisałeś w ten sposób. A dzisiaj?
Dzisiaj poezja ma kształt i wymierność
czasów pogardy, na darmo jej śni się
dawna słoneczność. Porzuciła bierność
traw stratowanych przez wiatr i pomiętych,
i szept, niepokój przedsennych wynurzeń,
i opuściwszy gwiazdne firmamenty,

opadła na nas w historycznej burzy.
I tylko liści smętne niepokoję
szelestem płyną i w dawności giną,
aby jedyne tłumaczenie twoje
nie spadło w nicość zamarłą godziną:

„I już obnażone drzew kępy —
Przez wiatr stratowane, pomięte.

I starość posępna
Jesiennych dróg pyłem osiadła na licach.

Lecz w ciemnych zrenicach
Spojrzały, zadrgały skry gwiazd — niemożliwem — — —

I radość i sława —
I wszystko w ich blasku dalekim, bezdennym.

Lecz zmięte i smętne są trawy
I liście szeleszczą na wietrze jesiennym — — —

I śni się, i śni się, i śni się:
Miniona słoneczność!
A ciebie mi żal tak, żal przecie — — —

O, serce niemądre, śmiejące się dziecię,
I kiedyż się wreszcie uciszysz?”

Nie wzdycha czas w gęstwinie ciemnych liści,
gdy żar po różach przejdzie ciężką stopą;
liście — jak listy do umarłych — wyście
związały w snopy dawność. Takim snopom
ciężaru doda biały kwiat jaśminu,
gdy się unosi nad krzewem, jak motyl —
zapachem dawność wspomni, choć przeminął
dzień, kiedy zapach decydował o tym
wspomnieniu czy też innym. Czas się zwinął
w roślinną pętlę, co gardło zaciska,
gdy się poruszyć. Wyzwolin godzino
najdalsza, przybądź! Na niebie się błyska
błyskawicami wydarzeń i przeczuć,
a czas do skoku jak zły pies się pręży
i krew ma w oku. Niechaj gryzie. Nie czuć
ból ukąszeń w jaskini wśród węży.

Jakże się wymknąć z łańcuchów historii,
kiedy nie grając, tutaj każdy aktor,
gdy wypaść z roli — lepiej próżne spory
z powodzią toczyć. Graj, Hamlecie! Tak to
czyni rozbitek, siedząc na mieliznie,
którą zalewa wciąż fala przyboju —
czegoż tu czekać w straconej ojczyźnie:
wyników boju — czy złud niepokoju?
Lecz nie. Zajadły rój mrówczy w podziemiach
kopie w zalewie zbawcze korytarze,
ażeby nowe mrowisk pokolenia
wolne wykształcić na czas przeobrażeń.
Tak się dopełnia ludzkość i przemienia
w dziejach i w walce. Ziemia się układa

lepiej. Bo niewygodnie dotąd ziemia
leżała w torach słońc. Gdzież na to rada,
gdzie rada, aby wyjść za krańce epok
i obojętnie zmianom się przyglądać,
kiedy przed nami płomienisty epos
w akcję nas wciąga i działania żąda.

Tak się dopełnia godzina narodzin
liści i ludzi, obłoków i roślin,
i trzeba tylko, by spośród tych godzin
wybrać do życia takie, co wynioślejsze
od innych biją na losów zegarze,
by uczłowieczyć w nas to co człowiecze.
a wtedy nie żal będzie nam wyrzeczeń,
gdyż się zagubią w gąszczu przeobrażeń.

(1942)

CZESŁAW MIŁOSZ

GRANICE SZTUKI

III

Teraz postaram się, aby się okazało, że Witkiewicz wystąpił jako świadek jednej ze stron w starym i mocno pieniackim procesie. Stronami w nim są (są, bo proces nie jest zakończony) — etyka i poezja, a ta ostatnia działa jako upoważniona zastępczyni sztuki w ogóle. Być może, że strony wodzą się po sądach niesłusznie. Jakby w zrozumieniu tego faktu, wycofują nieraz swoją sprawę i zawierają ugodę. Znaczący jednak twierdzą, że zgoda jest tylko pozorna i że nawet współpracując ze sobą owe dwie osoby starają się szkodzić sobie nawzajem.

Pierwsza ze stron nazywa siebie prawdą i cnotą. Za podstawę działania obiera rozum. Druga ze stron ze stron nie określa swoje stanowisko i tam gdzie żądają od niej argumentów, tańczy, śmieje się, płacze, albo wymawia niezrozumiałe słowa. Niejeden sędzia skłonny jest rozstrzygnąć na jej niekorzyść, a to z powodu jej wyraźnej demencji czy też niedorozwoju władz umysłowych. Platon orzekł, że jest ona oddalona o trzy stopnie od prawdy i że przebywa wśród urojeń i fantomów. Gdy rozum zdolny jest uchwycić ideę rzeczy, ona widzi tylko złudne pozory.

Dla rozumu krzesło, stół, łóżko czy dzban dają się sprowadzić do wymiarów i wagi; bez znaczenia jest, jak je ustawimy. Malarz, ten nierozumny człowiek, w tym samym przedmiocie widzi za każdym razem co innego, zależnie od punktu, z którego przedmiot ogląda. Poeta, człowiek niemniej nierozsądny, lubuje się w opisach namiętności i wzruszeń, ponad którymi rozum powinien przejść do porządku, jako nad niższą częścią ludzkiej natury. Co więcej, ponieważ co jest nieprawdziwe jest i niemoralne, poeta jest niemoralny, bo bezwstydnie grzęźnie w przeobrażeniach, tęsknotach, smutkach, wkładając w usta swoich bohaterów skargi, które wypowiadać publicznie wstydziłby się rozumny obywatel. Zaraża w ten sposób widzów i słuchaczy pobbieżaniem dla zwierzęcej części w ludziach, dla tego co jest jakże przelotne i nietrwałe. Na poezję nie powinno być miejsca

w doskonałym państwie; z jednym wyjątkiem: jeżeli wylegitymuje się ona wobec prawdy i cnoty czymś użytecznym opiewając jak należy bogów i bohaterów.

Od czasów Platona napisano niejedną obronę poezji i niejedno jej potępienie. W XIX wieku atak na największą skalę przypuścił Tołstoj. Ponieważ zajmują nas losy sztuki współczesnej, warto zatrzymać się chwilę nad pewną polemiką, która miała miejsce we Francji, w r. 1937. Młody autor Roger Caillois napadł na poezję według wszelkich najlepszych wzorów. Co prawda tym razem nie jako zwolennik cnoty, ale jako zwolennik myśli spekulatywnej, przy pomocy której odślania się nam budowa fizykalna świata. Zarzucił poezji „brak konieczności” i fałszowanie prawdy fizykalnej, zdobywanej z trudem, powoli, ale stale.

O jego intencjach najlepiej informuje powołanie się na pewnego starego schizofrenika, który tak wyraził się zgryźliwie o pięknie: „Spójrzcie na te róże, moja żona uznałaby je za piękne; dla mnie to tylko zbiorowisko liści, płatków, cierni i łodyg”.

W odpowiedzi na to Benjamin Fondane napisał rozprawkę p.t. „Wstydlive sumienie poety”.

Fondane w tym sporze etyki i poezji zarzucił myśli etycznej działanie w złej wierze. U swojego przeciwnika Caillois, w jego trosce o czysto intelektualne poznanie świata dopatrywał się starej platońskiej próby. Myśl etyczna i myśl spekulatywna są wobec poezji tym samym, tak jak już raz zjednoczyły się u Platona. W istocie jest to jedno dążenie do zamienienia poznawanej przez nas rzeczywistości w oczyszczony, uidealniony schemat. Liczy się z niej tylko to, co nadaje się do rozumowego ujęcia. Reszta, tak jak zmienne kształty coraz to inaczej ustawionego krzesła — to urojenia, to coś najzupełniej nierzeczywistego. Poezja dla Caillois jest przebywaniem w niewoli zmysłów, w niewoli fizjologizmu. Stary schizofrenik to samo pewno mówił o swojej żonie: widząc zamiast zbiorowiska płatków, cierni, łodyg piękną różę nie znała prawdy o róży, była w niewoli zmysłów. Kto zarzuca poezji „zwierzęcość” postępuje podobnie: „zwierzęcość, pożądania, rozpacz, żalu, upojenia czy fizjologizm wrażeń — to zawsze nieistotna, zewnętrzna warstwa świata, posiadającego wewnętrzną strukturę, cel naszego intelektu.

Na czym polega zła wiara myśli spekulatywno-etycznej? Na tym, że występuje ona rzekomo w obronie poezji, a ta, z natury nie obdarzona ani darem logicznej wymowy, ani zdolnością jasnego rozeznania, przysłuchuje się z otwartymi ustami i przytakuje — na swoją zgubę. Przytakuje, kiedy myśl spekulatywno-etyczna obszernie uzasadnia rolę, jaką poezja powinna odegrać w służbie prawdy czy cnoty. Przyklaskuje Heglowi, kiedy ten oswobadza poezję z więzów wszytkiego, co „skończenie i szczególnie”, co zakreśla granice dla ducha. Ale poezja żyje właśnie tym co skończone, szczególne, realne, zwierzęce, przelotne i nietrwałe. Jasność i wiedza ją zabija. Żywi ją niewiedza, ciemność, baśń, tajemnica.

Nasłuchawszy się mów przeciwniczki, która przebrała się w tożę adwokata, poezja zapomina kim jest i czemu zawdzięcza swoje istnienie. Wreszcie nie umie już tańczyć, śmiać się i płakać w odpowiedzi na argumenty. Dopóki to umiała — była silna i rzucała wyzwanie. Ugrzeczniona wstydzi się samej siebie i wtedy właśnie powstaje „wstydlive sumienie poety”. Poeta sobie nie dowierza. Poeta potrzebuje racy swojego działania, a tej racji dostarcza mu usługna, diabelsko przewrotna myśl spekulatywno-etyczna. Na ostatnim szczeblu rozwoju — a takim

przed rokiem 1939 była szkoła nadrealistów — poezja programowo zwraca się ku podświadomości, ku marzeniom sennym, ku instyktom, ku irracjonalizmowi. Ale nie jest to nic innego niż racjonalna eksploatacja irracjonalizmu, instyktu, snu, podświadomości, z Freudem (i Marksem...) w ręku. Koło zamknięte: racjonalny cud, racjonalna baśń, racjonalne, programowe fizjologizm i zwierzęcość. W taką pułapkę naiwną i infatylną muzę wciągnęła zręczna rywalka.

Zdaje się, że Fondane utrafił w sedno i pokazał główny wątek dramatu. Pamiętamy jak wielką była ilość szkół czy grup poetyckich przed tą wojną. Najważniejszą częścią rynsztunku każdego poety była doktryna uzasadniająca, że ma się prawo uprawiać poezję, że poezja ma jednak jakąś funkcję w społecznym organizmie (oczywiście tylko taka poezja, jaką reprezentowała dana szkoła).

Myśl spekulatywno-etyczna poczyniała sobie tak śmiało z poezją, bo przeżywała wielki tryumf we wszystkich dziedzinach. Wyda się to paradoksalne. Przecież właśnie prądy niechętnie rozumowi leżą u podłoża obłądów masowych i właśnie pogarda dla prawdy rozumu zapewniała im tryumf, trafiając do mas. A jednak — jest i tak i nie tak. Jest w tych obłądach masowych pochwała krwi, instyktu, siły, wreszcie pochwała głupoty — ale uzasadniana filozoficznie, mniejsza z tym czy i na jakich oparta sofizmatach. Tak jak stary schizofrenik patrzył na różę — naukowo i trzeźwo, tak jak nadrealiści naukowo i trzeźwo starali się wzbudzić w sobie halucynacje, sny i rozprężenie wyzwolonych pięciu zmysłów — tak samo naukowo i trzeźwo, wychodząc ze stanowiska biologii spojrzano na życie zwierzęcia ludzkiego, propagując planową zwierzęcość (już nie tę mimowolną, akcydentalną zwierzęcość poezji). Prawo do zabijania słabych, do państwowego niewolnictwa, do hodowlanych eksperymentów z ludźmi — zostało u d o w o d n i o n e.

Teorie sztuki czystej to jakby wstydliva i obciążona kompleksami samoobrona poezji przed coraz mocniejszą przeciwniczką. Odbywało się to przez powolne wycofywanie się z pozycji, do których rościła pretensje druga strona, byle w tym skromnym kręgu zostawić coś dla siebie coś, co by mogło zostać nietykalne. Oskarżają mnie o niemoralność? Ja nic, to nie moja sprawa, nie mam nic wspólnego z cnotą — zastrzegala się poezja. Inni przychodzą z żądaniem prawdy (dzisiaj srożą się przeciwko poezji, ponieważ „nie wyraża ona prawdy naszej epoki”). Poezja doradza im wtedy aby odwołali się do rozumu, bo prawda nie leży w jej kompetencjach. Wyraźnie, czarno na białym, stwierdza to Edgar Poe i jego wierny uczeń Baudelaire. Według nich poezja ma tylko przypadkowe związki z dziedziną woli (cnota) i dziedziną rozumu (prawda). Wynoszą także namiętności poza nawias — namiętności czyli „uczucia życiowe” Witkiewicza. Widzieliśmy jak niewiele z dozwolonych składników zostaje u Brémonda. Równocześnie jednak poezja, ta sama, która kiedyś przed Platonem kpiła z „gromady mędrców, co chcą wzniesić się nad Jupitera” teraz pokornie stara się w języku mędrców wyjaśnić swoje zalety. Zapożycza terminów i przy ich pomocy próbuje wzniesić wał dokoła swoich minimalnych posiadłości. Uduje się jej to pod warunkiem, że powoła się na uczucia religijne czy metafizyczne, jak to robili Poe, Baudelaire, Brémond i Witkiewicz. Nie udaje się, jeżeli te uczucia metafizyczne odrzucić: wtedy ostatni skrawek gruntu usuwa się poezji spod nóg i ocknie się ona całkowicie we władzy etyczno-speku-

latywnych pomysłów, będzie musiała służyć partii, państwu czy interesom rewolucji. Nawet zachowując jakie takie terytorium „sztuki czystej” marnieje bo ma za mało przestrzeni, dusi się, odczuwa brak rzeczywistości. Zrezygnowawszy z szeregu zamierzeń, musi znośić, że pogardliwie nazywają ją zabawką smakoszków, dzieciństwem — wstyd pogłębia się. Poezja chce być poważna. Chce żeby ją brano przynajmniej za dorosłą osobę niechby nawet nie darzono szacunkiem, na jaki zasługuje ze względu na swoje siwe włosy. Tym tłumaczy się gromadne porzucanie poezji czystej przez poetów — przechodzą oni pod opiekuńcze skrzydła etyki, bo wtedy nareszcie będą poważani. Mierny poemat o wielkim wodzu, o cierpieniach ojczyzny, o nowym społecznym porządku — to już jest coś, to się liczy. Doskonały wiersz, który jest tylko poezją — to ładne, miłe, przyjemne, ale nic więcej. Jest więc coś zupełnie błędnego w taktyce, jaką obrała poezja w trudnym dla niej sporze. Dała się wciągnąć w dyskusje, na których zawsze źle wychodzi. To jedno. Po drugie zrezygnowała tak długo, aż utraciła niemal wszystko a resztki pozbywa się z nieuleczalnego wstydu.

Wskazywanie dróg ratunku byłoby zupełnie bezcelowe. Albo są one te same co drogi ratunku cywilizacji opartej na wolności, albo nie ma ich wcale. Można stworzyć jeszcze dziesięć teoryj i szkół poetyckich i nic to nie pomoże. Los poezji zbyt mocno związany z losami wszelkiej swobodnej twórczości duchowej aby warto było przepisywać jej jakieś odrębne lekarstwa.

Zobaczymy co by wynikło, gdyby poeta nie przyznał schizofrenikowi zasadniczej racji. Przede wszystkim nie uznałby go za osobę poważną, a jego żony za osobę niepoważną — stwierdziłby tylko, że przeżywają to samo zjawisko inaczej. To uwolniłoby go od wstydu. Niewątpliwie żona kiedy schizofrenik tupie nogą i krzyczy: ty idiotko, czemu mówisz, że róża jest piękna? Czy nie widzisz, że to tylko płatki, liście i łodyga — nie może na swoją obronę powiedzieć nic — ale i nie musi. Poeta bezwstydnym nie godziłby się skwapliwie na oddanie etyczno-spekulatywnym schizofrenikom prawdy i cnoty w dzierżawę, zostawiając sobie tylko piękno. Innymi słowy nie cofałby się w krąg poezji czystej, gdzie „melancholia jest najbardziej usprawiedliwionym ze wszystkich poetyckich tonów”. Przeciwnie, twierdziłby że przedstawia rzeczywistość i tylko rzeczywistość, że wdzięk róży, skarga z powodu śmierci bliskiej osoby, pożądanie, lęk — nie są tylko fantomami, niegodnymi czysto rozumowej, przejrzystej konstrukcji świata.

IV

Czytając dziełko Tołstoja „Co to jest sztuka” ma się najprzeziwniejrze skojarzenia. Ni stąd ni zowąd zobaczyłem długie, wyboiste, obudowane małymi domkami ulice miasta Baranowicz. Znalazłem się tam któregoś wieczora na wiosnę 1939 roku. Było pusto, ciemnawo i prowincjonalnie — jak zwykle kiedy latarnia rzuca światło na bruk i na środku jezdni spotykają się jakieś flegmatyczne psy, nie niepokojone przez nikogo. Chciałem coś zjeść i szukałem restauracji. Przechodzeń wskazał mi niski, drewniany barak. Pchnąłem drzwi. To, gdzie się znalazłem, nie okazało się wcale zaciszną, małomiasteczkową knajpą, z właścicielem za ladą. Była to duża sala, oświetlona jaskrawym, czerwonym światłem żarówek okręconych kolorowym papierem. Pod ścianą, na podium, rzępolił jazz złożony z trzech osób. Po

bokach były łoże sklecone z dykty. Okropne, niby-kubistyczne malowidła na deskach ścian, kulawe stoliki, chwiejące się przepierzenia łoż — tak — ale za to lokal nowoczesny, miniatura cywilizacji. Kilka par żydowskiej młodzieży kręciło się na środku, spełniając ten sam obrządek, który inne pary spełniały o tej samej porze w Londynie i Paryżu. Widok żalony, coś nikczemnego w tym czerwonym oświetleniu, nasładowującym nocne dancingi wielkich miast, w tych pseudo-nowoczesnych malowidłach, w nudzie parodii. Zważmy jednak, że dla człowieka, który nie ruszał się z Baranowicz, to musiała być cywilizacja. Fale, rozchodzące się z wielkich centrów słabły i słabły — aż wreszcie tutaj, pod sowiecką granicą zostawiły ten symboliczny szczyłek bezradnego postępu.

Ktoś, nie znający zupełnie tej cywilizacji, gdyby sądził ją na podstawie tego jej objawu, wydałby na pewno wyrok surowy. Żołnierz sowiecki, zobaczywszy nocne życie miasta Baranowicz, mógł być przekonany, iż słusznie uczono go że Europa to „jedwabie i domy publiczne”. I właśnie czytając opinie Tołstoj o sztuce, niesposób oprzeć się wrażeniu że swój sąd urabia oglądając odpadki, plugawe narośla. Przychodzi jako ktoś z boku, całkowicie niezainteresowany losem cywilizacji zachodniej. Szczątki, które do niego donosi fala z dobrą wiarą bierze za dowody. Nie podobają mu się francuskie romanse, w których nie ma nic oprócz erotyki, śmieszy go przedstawienie „Nibelungów” w Moskwie, podczas którego starzy, poważni profesorowie oklaskują bajkę pełną barbarzyńskich niedorzeczności, za głupią nawet dla starszych dzieci. Pyta ze zdumieniem co znaczą wiersze Maeterlincka i oburza się na malarstwo nowych malarzy — symbolistów i impresjonistów, nie starając się nawet zbytnio ich odróżnić. Och, Tołstoj nie jest naiwny, przeciwnie, jest przebiegły. Jego metodą jest brak intencji zrozumienia wewnętrznych nurtów europejskiej sztuki. Świadomie brutalny i głupkowaty, staje przed nimi, uzbrojony w zdrowy rozum rosyjskiego chłopca. Wy tam teorie, poglądy, subtelności — a ja widzę przed sobą co umiecie zrobić. To wasze? Jeżeli wasze, to wolno mi was według tego sądzić. Nienawidzi subtelności. „Tonkost” i „utonczenie” — subtelność i wysubtelnienie — powtarzają się jako najcięższe zarzuty.

Tołstoj atakuje sztukę europejską od podstaw, a mianowicie uderza w samo pojęcie piękna. To pojęcie wytworzyły według niego próżniacze, pasorzytnicze klasy, które utraciwszy wiarę religijną zachowywały religię na użytek mas, a na swój użytek hodowały sztukę. Datuje się to od Renesansu. Co to jest piękno? — pyta Tołstoj. Czy służy do czegoś? Czy ulepsza ludzi? Nie. Jego istotą jest „nasłazdzenie” — delectacja. Jest to zaleta dobrze przyrządzonej potrawy, która raduje podniebienie smakoszków. Kiedy Tołstoj to napisał, musiały zapłakać cienie artystów. Znaczyło to, że nadciąga nowy jakiś świat, który drogę im pojęcie piękna zniweczy.

Cóż bowiem głosił Tołstoj, ten wielki prorok nadchodzącej etyczności? Czyż ważne jest, czy był czy nie był marksistą, czy w ogóle tu o sam marksizm chodzi? Jak większość wybitnych pisarzy rosyjskich drugiej połowy XIX wieku głosił niepotrzebność piękna, potępiał wszelkie nasłazdzenie jako przyjemność do której nie ma się prawa dopóki ludzie cierpią. Groźniejszy od Platona, bo przemawiający w imieniu muzyków a nie w imieniu filozofów, wołał: oswobodźcie niewolników kapitału, a nie będzie można tworzyć wysubtelnionej sztuki. Jeżeli sztuka

jest tak ważną sprawą, jak to utrzymują jej wielbiciele — to musi być dostępna dla wszystkich ludzi. Jeżeli nie może stać się sztuką całego ludu — to jedno z dwóch — albo nie jest tak ważną sprawą, albo to co my zwykliśmy nazywać sztuką nie jest tą ważną sprawą. Bo nie w pięknie, nie w dostarczaniu jakichś nieokreślonych wzruszeń estetycznych — ale w „oswobodzeniu jednostki od jej oderwania od innych ludzi, od jej samotności, w tym zlanie się jednostki z innymi spoczywa główna przyciągająca siła i właściwość sztuki”.

Oswobodzenie od samotności, zlanie się jednostki z innymi. Tak Rosja przeżywała swoje marzenie o roju, gdzie pojedyncza pszczoła nic nie znaczy, gdzie jest gorąca temperatura szczelnego przylegania i bezustannego zbiorowego wysiłku. Sztuka europejska, która nie znała podobnych marzeń i przeciwnie, ciągle była zajęta osobistym, że wyrażę się figuralnie, zbawieniem artysty — nie mogła znaleźć łaski w oczach Tołstoj. Z malarstwa podobają mu się tylko te obrazy, które przedstawiają życie chłopów czy rzemieślników. Z całej literatury współczesnej uznaje tylko „Nędzników” i „Pracowników morza” Viktora Hugo i powieści Dickensa — dlatego że jest w nich miłość do człowieka.

Chociaż sąd Tołstoj był krzywdzący, bo oparty na zamierzonym niezrozumieniu i chociaż dyktował go mniej lub bardziej mit „zgnitego zachodu”, to jednak jest coś orzeźwiającego w tej brutalności. Człowiek, przebywający stale w pewnym środowisku, gdzie wszyscy mają podobne przekonania, podobne pragnienia i obyczaje, dostrzega na sobie tę warstwę zwyczaju dopiero kiedy zetknie się z ludźmi innych środowisk, zachowującymi się w każdej okoliczności inaczej. Środowisko czy cała cywilizacja łapie się na śmiesznościach i błędach kiedy zaczyna o nich mówić ktoś spoza jej obrębu. Dotychczas pewne sposoby oceniania wydawały się najzupełniej naturalne, były tak zwyczajne jak powietrze. Nagle ukazują się jako coś, co mogłoby być takie, ale mogłoby być i inne. Noszenie gorsetów, złotych cwikierów, jeżdżenie na Riwierę, wizyty w Luwrze, oklaskiwanie „Nibelungów” — dla ludzi ówczesnych były jakimś darem przyrodzonym, niemal prawem przyrody. Tak samo niemal prawem przyrody zdawał się pewnik, że kto nie popełnił przestępstwa nie powinien być karany: że czcigodny ojciec rodziny wychodząc z pieskiem na spacer nie może zostać na ulicy schwytyany przez hyclów i wpakowany do budy, zostawiając osamotnionego i żałośnie skomlącego pieska: że do dzieci nie strzela się z rewolwerów. Ale może się zdarzyć że przyjdzie ktoś i powie: ludzie, za wiele macie pewności że świat toczy się tak jak toczyć się powinien. Zamiast nosić cwikiery moglibyście nosić kagańce albo obroże z numerkiem. Zamiast jeździć powozem zaprzężonym w konie, moglibyście znaleźć się w niewoli u koni, jak w „Podróżach Guliwera”. Zamiast mieszkać w domach nad ziemią moglibyście mieszkać w domach pod ziemią. Wszystko czym żyjecie, jest zrobione, a co zrobione, może być tak albo inaczej. Tołstoj był takim kimś. Obwieszczał cywilizacji zachodniej, że przynajmniej od kilkuset lat żyje w fałszu. To co nazywa sztuką nie jest wcale sztuką, a piękno przez wielkie P to nic innego niż wymysł próżniaków, przy pomocy którego odgradzają się od tłumu.

Pogardliwy wzrok człowieka prostego chwyta od razu dziwactwa ludzi wyrafinowanych i ich wytworów. Prosty człowiek odwraca się i spluwa na boku. Potrafi bezlitośnie ocenić wiersze, obrazy, muzykę. E. to jakieś głupie — powiada.

Chce żeby głowa była podobna, krowa jak żywa, a muzyka melodyjna i przyjemna. Najczęściej ma rację, bo pomiędzy różnymi tworam i awangardy znikomy procent jest coś wart. Jednak w samym poszukiwaniu i błędach tkwią już zapowiedzi przyszłych nielicznych a doskonałych realizacyj. Tołstoj lokal dancinowy w Baranowiczach, czyli całą drugorzędną produkcję artystyczną swoich czasów ocenia zupełnie właściwie. Dzisiaj jesteśmy gotowi podpisać się niemal pod wszystkim, co pisze o Maeterlincku, Wagnerze, romansopisarzach francuskich albo o obrazach symbolistów. Ale z tymi zjawiskami drugorzędnymi miesza pierwszorządne, przynajmniej pierwszorządne w naszym pojęciu — bo zapładniające pracę dobrych artystów w przeciągu dziesiątków lat. Na to pewno odpowiedziałby, że nic go to nie obchodzi, czy ktoś tam jest trochę lepszy czy gorszy z punktu widzenia „naszadzienja”.

A mimo wszystko z postawy Tołstoja wynika potężny morał dla sztuki. Dobrzeby na tym wyszła, gdyby co pewien czas odchodziła od swoich dzieł o dwa kroki, jak malarz od obrazu — i oceniała swoje dzieła oczami prostego człowieka. Wtedy uniknęłaby grzęźnięcia w pewnych absurdach, wynikających z zamknięcia się w kręgu idei, które rozwijają się same z siebie, bez związku z rzeczywistością — czyli uniknęłaby uporczywych niebezpieczeństw idealizmu. Np. dramaty Przybyszewskiego oglądane oczami trzeźwego rozumu, dałyby się od razu, nie czekając na zmianę całego stylu odczuwania, rozpoznać jako zupełnie liche i chorobliwe utwory. Że z powodu zdrady małżeńskiej troje ludzi na scenie musi wyrwać sobie włosy, ryczeć, popełniać kolejno morderstwa i samobójstwa — zdawało się rzeczą naturalną tylko dla kół publiczności, przebywającej w odpowiedniej temperaturze egzaltacji. Podobnie „Próchno” Berenta, gdzie nie wiadomo dlaczego bohater szarpie się między miłością do sztuki i miłością do żony, gdzie o świcie i w niesłychanie poetyczny sposób odbywają się samobójstwa — jest właściwie zbiorem bredni, jeżeli zapomnieć o nastrojach ówczesnej bohemy i o przeżywanej na głęboko i na tragicznie filozofii Schopenhauera — o której chłop orzący pole pod Warszawą nie miał na szczęście żadnego pojęcia. Cała trudność w tym, że koła widzów, słuchaczy, czytelników są stale pod urokiem pewnego stylu, który jest zawsze stylem danego momentu i nie mogą wyrwać się z niego nie tracąc zarazem doznań estetycznych. Mimo to w jakimś stopniu trzeźwość prostego człowieka zdolna jest zapobiec zwyrodnieniu. Mówię o prostym człowieku jako o abstrakcji. Każdy może oprócz tego, że jest widzem, czytelnikiem czy słuchaczem, zachować w sobie coś z prostego człowieka. Platon, zarzucając tragedii jęki, rozpaczę i rozpasanie namiętności, apelował właściwie, nieco demagogicznie, do prostego człowieka — tak samo jak my apelujemy, pokpiwając z jęków rozpacz, strzelań się na scenie u Przybyszewskiego. Tołstoj wyszydając „Nibelungi” czynił to samo.

Miara, jaką stosuje ów prosty człowiek jest zawsze miarą praktycznego rozumu. Jest on z natury wrogiem sztuki, która z istoty swojej przesuwą się po linii emocji i legend, innych w każdym momencie historycznym. Kiedy uproszczony, schematyczny człowiek, czyli myśl etyczna — bo to na jedno wychodzi, zdobywa głos decydujący i zaczyna dyktować artyście jak powinien tworzyć — mogą powstać, przy innych sprzyjających okolicznościach takie zjawiska, jak podporządkowanie artystów partii, która nie tylko podsuwa im tematy, ale jeszcze

dokładnie określa metody układania farby, używania wyrazów i t.d. Platon wylicza ustępy, które władcy idealnej Republiki powinni wykreślić z Homera jako źle wpływające na młodzież, bo budzące lęk przed śmiercią, albo pobłażanie namiętnościom. Gdyż abstrakcyjny prosty człowiek ze swoją miarą rozsądku i etyki jest skłonny do przekraczania wszelkich granic: obłąd rozsądku nie jest lepszy od obłąd szaleństwa. Tylko dopóki prosty człowiek w nas zachowuje skromność i onieśmienie zdolny jest udzielić cennych rad.

Tołstoj stylizował się na prostego człowieka. Sokrates Platona terroryzował młodzieńców przy pomocy pytań, na które prosty człowiek znajduje tylko jedną, oczywistą odpowiedź. Cechą takich poglądów, jak żądanie podrzędności sztuki wobec ideałów mających zapewnić szczęśliwość społeczeństwu, jest ich pozorną, ale tylko pozorną słuszność i nieodpartość — co zaszło i u Tołstoja i u Platona.

Powinno być widoczne z tego szkicu, że sztuka przebywa pomiędzy dwiema skrajnościami. Z jednej strony grozi jej swoboda kupiona za cenę rezygnacji z oddziaływania na stosunki ludzkie — jak u zwolenników „poezji czystej”, „Czystej Formy” i „Sztuki dla Sztuki”. Z drugiej — niewola w służbie społecznych pomysłów. Jesteśmy tak przesiąknięci myśleniem w kategoriach kolektywnych, że trudno nam wyobrazić, aby np. nie wolno było potępić naśladowców Nietschego, albo propagatorów rasizmu. Świat wszedł w taką fazę, że jakiegokolwiek niby oderwane od rzeczywistości majaczenie poetów ma natychmiast takie czy inne i poważne skutki. Kontroli trzeźwości i etyki nie da się już uniknąć. I właśnie dlatego tak ważne jest poszukiwanie granic, które my, jako masa ludzi prostych, troszczących się o sprawiedliwość społeczną powinniśmy zagwarantować poetom.

I może wszystko sprowadza się tylko do wyboru pomiędzy wizjami etyczno-społecznymi. Jedne z nich są wrogie swobodnemu rozwojowi po linii nieustannej ruchliwości i zmienności. Straszą i szantażują nas rzekomą przełomowością jednego punktu dziejów. Inne nie głoszą bynajmniej, że właśnie w tej chwili kończy albo zaczyna się świat, że od iluś tam setek lat żyjemy w fałszu i dopiero teraz spada nam łuska z oczu. I te właśnie są naturalnymi sojusznikami kultury.

Pomysły, które chcą realizować szczęśliwość ludzkości *hinc et nunc*, pycha spekulatywno-etyczna, zapewniająca, że wie co człowiekowi jest potrzebne i jaką receptę zastosować, aby raz na zawsze zapewnić mu błogostan — to są rzeczy którym poeta i obrońca poezji nie powinien dowierzać. Jeżeli krzyczą, że teraz albo nigdy, że przeżywamy przełom, jakiego ludzkość nie znała od początku swego istnienia i że niczym już zająć się nie wolno, tylko przełomem — obrońca sztuki i nauki dobrzeby zrobił, gdyby tłumił i w sobie i w innych ten krzyk aktualności. Z takiej postawy hamującej nie wynika, aby stawał po stronie innych którzy mówią, że wszystko już było, że niesprawiedliwość i gwałt są wieczne i że nie bacząc na żadne przemiany należy uprawiać swój poetycki czy naukowy ogródek. Przeciwnie, z większą może słusznością można powiedzieć, że wszystko zawsze jest nowe, jeżeli nie w samych pierwiastkach, to w proporcji pierwiastków. Nawet na dnie upadku rozum nas przekonuje, że głód, morderstwa, nędza mas, wojny — nie są konieczne, choć teraz są. Kształt cywilizacyjny jaki wyłania się z linii wiersza, z przedmiotu i ujęcia przedmiotu dzieł malarskich

— jeżeli jest rzeczywistym kształtem cywilizacyjnym, budzi nadzieję, zapobiega zwątpieniu. Jest czymś większym, niż podchwala takiego czy innego politycznego ustroju. Bo to co realizuje się w praktyce jest zawsze mniej lub więcej martwe dla sztuki i nauki godnej swojego imienia. Wynalazki praktyczne są darem, jaki nauka dążąc do swoich ponad-praktycznych celów przynosi ludziom. Lata się samolotem, ale równocześnie uczony pracuje nad odkryciem, którego praktyczne następstwa nie są dla niego jasne, nie zdoła ich przewidzieć. W sztuce zawarte są ładunki przyszłych form i przyszłych ustrojów, chociaż nie ma ona jeszcze jasnego ich rozeznania — bo gdyby miała, byłaby tylko posłusznym rzemiosłem.

To, co pomyślałem przy czytaniu Tołstoja, rozgrywało się na tle przywołanego przez pamięć lokalu w Baranowiczach. Gdyby pokazać go ludziom o różnych charakterach i skłonnościach, otrzymalibyśmy próbę tych sprzecznych postaw, które starałem się przedstawić. Tołstoj powiedziałby, że widowisko budzi wstręt i że cywilizacja, która na to tylko zdobyć się umie, nie zasługuje na żaden dobry los. Trzeba ją przekreślić i zacząć budować na nowych zasadach. Tak też powiedział polityk, straszący nas wypełnieniem się czasów: patrzcie oto do czego doszła zgnilizna w której żyjecie. Czy ktoś z was odważy się jej bronić. Czy fakt że zamiast dać mieszkańcom miasteczka książki, dzieła sztuki, dobrze i kulturalnie urządzone restauracje i kluby, daliście pół-analfabetyzm i mizerną imitację paryskich kabaretów, nie potępia was i z wami całej rupieciarni waszych subtelnym wierzeń i przekonaniach? Artysta lękliwy przytakiwałby mu rumieniąc się: tak, tak, więc co nam robić, aby tę nikczemną cywilizację zniszczyć. Oddaję się z duszą i ciałem na usługi nowej, chociażbym miał sam cierpieć. Zrywam ze wszystkim, w co dotychczas wierzyłem, kajam się. Inny artysta — taki jak Witkiewicz, zapewniłby, że nic go to naprawdę nie obchodzi. Wie jednak, że i Tołstoj i polityk i lękliwy artysta nie mylą się, że przed nimi otwiera się przyszłość. On nie pójdzie z nimi i tylko prosi, aby mu pozwolono umrzeć spokojnie.

A przecież jest jeszcze jedna odpowiedź. Dancing w Baranowiczach, gotyckie katedry, Dante i Szekspir są wytworami tej samej cywilizacji. Wytworami tej samej cywilizacji są straszliwe wojny, wyzysk i poniżenie ale zarazem i idea zjednoczonej ludzkości i związki robotnicze i ubezpieczenia i powszechność oświaty. Czy po to aby wyplenić z niej to, co obciąża jej rachunek, trzeba ją ugodzić w jej podstawach? Czy to co z niej wyrastało organicznie z szacunku dla człowieka, da się zastąpić nową „Republiką” Platona? Nie.



ZMIANY

V.

Wojniłowicz pojechał do Włoch mając od stycznia objąć stanowisko w konsulacie. Pojechał za poradą ciotki wcześniej o dwa miesiące, by zwiedzić kraj, nauczyć się języka, nawiązać znajomości z ludźmi z którymi miał współpracować. Otrzymał list polecający do ambasadora polskiego w Rzymie i do konsula generalnego i był przekonany że ci znajomi ciotki czy przyjaciele przyjdą mu na pomoc i wprowadzą go w zawód jaki sobie obrał.

Jechał od miasta do miasta i zwiedzał. Czynił to z przymusem. Powierzchnownie studiował Bedekera nie okazując skłonności do historii i galerii. Opanował szybko język, mówiąc nim z francuskim akcentem, ale czytał gazety i literaturę agitacyjną o faszyzmie chętniej niż Wieczory Florenckie które z czułą dedykacją ofiarował mu Ankwicz. Bardziej interesowali go ludzie i wypadki wokół, niż zapomniane dzieje. Przejmował się walką Matteotiego z Mussolinim żywiej niż sporem Pazzich z Medyceuszami.

Nie był jednak pozbawiony zmysłu piękna: zauważył, że miasta na północy Włoch podobają mu się bardziej, bo są nowocześniejsze, bogatsze, lepiej uporządkowane. Przypomniał sobie jak raz Pieczarski zarzucił mu że ma wielkopańskie upodobania ponieważ nie lubi nędzy, bo nędza jest brzydka. Zwiedzając ubogie okolice Włoch przyznawał Pieczarskiemu rację.

Przybył do Rzymu i przekonał się że poza uprzejmym przyjęciem przez ambasadora i przez konsula nie może od nich otrzymać żadnej wskazówki co ma tam na Sycylii robić, czym się zająć. Ambasador w ogóle zdziwił się, że Stanisława skierowano na południe, ale w końcu nie bardzo go to obchodziło, co działo się w konsulatach. Konsul generalny Jadźwiński zachował się podobnie, gdyż był obrażony że na stanowisko, na które protegował kuzyna swej żony posłano Wojniłowicza. Udzielił mu paru ogólnych wskazówek, zbagatelizował całą sprawę i polecił by zgłosił się w Palermo u honorowego konsula polskiego signor Bellicchi, starego i wypróbowanego przyjaciela Polski, Polaka z pochodzenia, potomka emigranta po którymś tam z powstań.

Wrócił więc Stanisław znowu do zwiedzania Rzymu, jego kościołów i muzeów. Poznając go nie zapomnił że jest w stolicy katolicyzmu, u kolebki chrześcijańskiej myśli. To w co wierzył najgłębiej, spodziewał się tu u tronu papieża dojrzeć w najczystszej postaci. Mistycyzm o którym czytał, społeczne wartości chrześcijaństwa, miłosierdzie i sprawiedliwość, a przede wszystkim trwałość zasad Kościoła, który oparł się przez wieki wszelkim burzom, prześladowaniom, herezjom, reformom, wierzył że dojrzy z bliska jak na świat oddziałują. Zwiedzając Watykan i kościół Św. Piotra, rzymskie bazyliki i klasztory, słuchając nabożeństw i kazań w kościołach, czytając „Osservatore Romano” szukał dynamicznej i potężnej wiary broniącej świat przed materializmem doktryn rewolucyjnych, bombardującej obóz nieprzyjaciół argumentami prawdziwej Ewangelii.

Pragnął zbliżyć się do źródła siły chrześcijańskiej, ściślejszej katolickiej, pragnął wzniesienia się i utwierdzenia w wyznawa-

nych zasadach, pragnął ujrzeć dowody dla dogmatów, dotknąć ręką owego światła, które z Watykanu świeci blaskiem nieprzyćmionym. Długo stał pod kopułą Piotrową podczas nabożeństwa, jak pielgrzym skruszony, pewny że wraz z cierpliwością i pokorą przyjdzie owo potwierdzenie. Zarliwości swej religijnej nie zaspokoił jednak. To co wokół niego się rozgrywało było pompą wspaniałego nabożeństwa, liturgią starannie wyreżyserowaną, a jednak niedoskonałą wobec wymagań, jakie on stawiał.

Zasklepiła się nad nim olbrzymia kopuła i wznosiło mauzoleum św. Piotra ze skrzyżowanymi boleśnie trzonami kolumn. Dalej łuki arkad, ołtarze, kaplice, grobowce papieży. Mozaiki, rzeźby, stiuki. Barok świetny, ciężki geniuszem Michała Anioła i Berniniego powołany do życia, w którym formy męczą się, nawzajem na siebie oddziałują, ciężą. W którym proporcje sobie odpowiadają, są logicznym następstwem tych praw, które wykrył Buonarrotti i narzucił je burząc pogodę i harmonię Renesansu.

Bo religia, religia katolicka w Rzymie, nie jest pogodą, nie jest harmonią, ale wyrazem jest duchowej męki człowieka, najbogatszej ze wszystkich jego mąk. Jest wiecznym niepokojem i nie może być zaopatrzona w rzędy równych kolumn, w arkady symetrycznie biegnące, w nieprzerwane przyczółki i gzymsy klasycyzmu. Budując kościół św. Piotra nie wznosili w nim biskupi Rzymu parlamentu kompromisów, ani giełdy rozumu, lecz przeciwnie „non possumus” głosili sami przeciwko sobie. Nie czynili ładu, nie sięgali do porządków, lecz spiętrzali marmury i skuwali je brązem i złotem, jakby podniecić chcieli protest przeciwników, jakby na ogniową próbę wystawiali tych wszystkich, którzy tu wstępują.

Lecz Stanisław tak nie rozumował. Jak większość ludzi nieobeznanych ze sztuką, nie umiał czytać w tej najtrudniejszej księdze form jaką stanowi bazylika Piotrowa. Był na to za bardzo pielgrzymem północy a estetyka jego kształciła się, choć podświadomie na antyku czy gotyku. Barok, barok rzymski był dla niego jak dla tylu pielgrzymów polskich jedynie przeładowniem, bogactwem, ozdobnością. Pustką.

Gdyby miał przyrodzoną dla sztuki ciekawość, gdyby miał wykształcony smak, gdyby miał w naturze swej skłonności estetyczne, nie byłby tak fałszywie odczuł siły, którą w kamieniu bazyliki zakłęto. A wtedy byłby może inaczej patrzył na ludzi w niej, na wiarę jaką wyznają, na obrządek. Ale darmo było tego żądać od niego.

Spróbujmy odtworzyć co działo się w jego duszy:

Zobaczył na tronie Piotrowym namiestnika Chrystusa. Widział jego nieruchomą postać na majestacie, patrzył na purpury kardynałów, na świetność dworu, wokół słyszał zawodzenia prałatów, potężną muzykę organów i nie mógł przemóc w sobie rzeczywistości. Rozumiał, że znajduje się w teatrze, że jest widzem obojętnym wydarzeń, podnieconym tym, że przecie Ewangelia głosi pokorę i skromność, ubóstwo i prostotę, a tu patrzył się na wspaniałość skostniałą w rutynie, na gesty, zwyczaje, tradycje, sztywne, zimne, dumne jak owe marmury którymi błyszczą kościoły, jak złocenia którymi lśnią ołtarze, jak kopuła gdzieś tam w górze zasklepiąca w bezmiernej śmiałości panowania.

Nie myślał jednak literackimi terminami choć takimi były jego uczucia. Straciła się w nim słodka wiara chłopięca jaką

pamiętał, że żywił, zgubił po drodze ową żarliwość młodzieńczą z którą chciał stanąć w szeregach katolickich.

Analizując głębiej i spokojniej spostrzegł że widzi organizację, potężną, karną, doświadczoną, organizację o typie państwowym, potężniejszą może od innych bo nie opartą o granice i terytoria, ale o religijne przekonania ludzi. Armię zakonów i księży otrzymującą stąd rozkazy, rządzoną, niepisaną konstytucją i przez to trwalszą. Lecz gdzież jest wiara, gdzież jest prawda, ta prawda którą objawiono w Ewangelii, bez organizacji, bez pompy, bez teatru, która sama powinna zwyciężać przez miłość, przez równość, przez sprawiedliwość daną od Boga?

Gdzie w tych warunkach tak bardzo zmysłowych, tak pierwotnie religijnych, obyczajowych bardziej niż mistycznych kryje się myśl jakiej szukał — jaką chciał zobaczyć? Organizacja zwyciężyła tę myśl, mechanizm stał się wiarą. Sztuką samą w sobie uczyniono adorację Boga.

Wokół niego tłum patrzył, podziwiał, unosił się. Bił korne pokłony, szeptał modlitwy zachwycony tym co widzi. A on chciał rozumieć, chciał przekonać się i utwierdzić.

Ten sam tłum niedawno jak w pochodzie religijnym szedł za świętym krucyfiksem niosąc sztandary i godła polityczne. Kościół postępował ręką w rękę z państwem mimo, że przeciw Kościół winien być ponadpaństwowy a zwłaszcza kościół katolicki. Drażniło go że religia którą w Rzymie widzi jest niejako religią ludową, a nie wszechludzką jaką być powinna. Że kościół włoski jest kościołem narodowym, a nie powszechnym.

Tak dojrzał w nim kryzys religijny im bardziej poznawał katolicyzm w jego zewnętrznej świetności, poprzez włoską, ściślejszą rzymską liturgię. Nie dyskutował tych spraw z nikim, bo wstydził się swych uczuć i były one zbyt bolesne dla niego. Za wiele kosztowały go, za wiele włożył w nie trudu by mógł przed najzyczliwszym przyjacielem je wyłożyć. Było mu najwygodniej nie zwierzać się ze swych obserwacji czy wątpliwości, które dzień po dniu narastały od liturgii obejmując dziedzinę dogmatów, od dogmatów atakując wiarę samą. Rozrastały się w nim coraz silniej, brały go w posiadanie usuwając jedne po drugich przekonania. Wystarczyło dla niego by przeczytał jakąś legendę religijną, która nieoczywistością swoją drażniła jego zmysł realizmu, by kierując się logiką wątpił w nadnaturalne zjawiska opisane w Ewangelii, by z kolei wątpił w objawienie samo.

Nie umiał odwrócić od siebie tych faktów i przeżyć, zwłaszcza że coraz częściej przyznawać musiał rację owym argumentom które znał ze społecznej, ekonomicznej i przyrodniczej literatury. Nie bez bolesnego uczucia spostrzegł że istotnie rację mają ci, którzy głoszą że religia jest narkotykiem usypiającym czujność ludu, że bynajmniej nie doskonalą człowieka ale często kryje za sobą gruby zabobon i brutalny interes mniejszości. Bo na cóż — rozumował — te nieprzebrane skarby Kościołowi, na cóż te świątynie, tam gdzie potrzeba szkół i szpitali, gdzie polepszyć dolę trzeba działalnością a nie przedstawieniem.

Może zatrułby sobie skrupułami religijnymi podróż, gdyby nie i inne wątpliwości z którymi przyszło mu walczyć. Do nich należało i wykształcenie historyczne, które pragnął osiąść by poznać Włochy, a które nudziło go i trudziło. Przez cały czas podróży starał się pilnie studiować historię, aż wreszcie jednego dnia znieczcierpliwiony wyrzucił przewodniki i podręczniki postanowiwszy podróżować bez nich. Korespondencja z ciotką

zabierała mu też sporo czasu, gdyż przyrzekł jej pisać regularnie listy, czego z trudem dotrzymywał. Ciotka zapytywała go ciągle o wszystko, pytała o jego finanse, zalecała by stawał w porządnym hotelach i by w ogóle prowadził się porządnie. Tymczasem Stanisław z rozmysłu lubił jeździć trzecią klasą, stawać po tanich pensjonatach i hotelach gdyż wydawało mu się, że będzie mógł w ten sposób łatwiej dyskutować z ludźmi, dowiedzieć się od nich jak najwięcej o kraju i stosunkach politycznych.

Znajdował się przecie w ojczyźnie ruchu politycznego, o którym z taką sympatią mówiono w Polsce. Więc przyglądał się faszyzmowi ciekawie, pracy i organizacji ruchu, odnosząc się doń krytycznie przez jakieś prawo sprzeciwu które tkwiło w nim silnie. Dlaczego, sam nie rozumiał. I wiedziony tym prawem sprzeciwu, krytycyzmu, sprawdzania, szukał ujemnych stron faszyzmu nie poddając się oficjalnej propagandzie.

W tym czasie wódz przeżywał dni tryumfu. Stworzył ruch którym objął masy włoskie, zadowolone z życia i widowisk. Dynastię, warstwy posiadające, Kościół, uratował przed klęskami rewolucji i argumenty te wielokrotnie słyszał Stanisław powtarzane szczerze przez ludzi wszystkich stanów i zawodów. Rzadko wspominał ktoś o terrorze, rzadko odezwał się ktoś zjadliwie, bo na ogół z młodym cudzoziemcem nie chciano polemizować. Siła Mussoliniego powszechnie imponowała społeczeństwu, jak zazwyczaj siła. Miała w sobie ową moc przyciągającą, której z trudnością poddawał się Stanisław.

Byłby może i Stanisław po powierzchownym poznaniu kraju i systemu rządzenia uległ temu czarowi faszyzmu któremu większość zwiedzająca Włochy ulegała, gdyby nie sprzeczności jakie zauważył między programem głoszonym a życiem. Z balkonu weneckiego pałacu krzyczał wódz Włoch o miłości, pokoju i grozie wojny, a równocześnie organizował wojskowo społeczeństwo i zbroił kraj. Wołał wiele o dawnych tradycjach narodu włoskiego, które przecie były bardziej pokojowe niż wojenno-zdobywcze, a równocześnie zachwalał ducha militarnego, siłę przed prawem stawiał, miraże potęgi wywoływał. Tkwiło w tym wszystkim coś co instynktownie odpychało Stanisława od przyjęcia tej swoistej doktryny społecznej, mimo iż ubrana była w formy gospodarcze rzekomo nowe.

Gdy wyjeżdżał na Sycylię okrętem z Neapolu, znalazł się w porcie wcześniej niż było trzeba i włącząc się z miejsca na miejsce przypatrywał się ładowaniu statków, przyjazdowi łodzi rybackich, życiu jakie morze z lądem łączy. Mógł tak godzinami wałęsać się i oglądać port, poznawać otoczenie przez bezmyślne patrzenie się, choć wyrzucał sobie że traci czas i że lepiej byłoby dlań kształcić się systematycznie zwiedzając.

W ciepły wieczór zimowy, bo od południa znad Sahary wiał wichur gnając powietrze pustyni, „Cita di Palermo” zaopatrzona w wodę i węgiel, lśniącą bielą pomostów czekała na pasażerów. Marynarze i służba zaczęli się schodzić na statek, zapalono światła, ładowano na przedni pokład ostatki towaru. Stanisław stał i patrzył na tę scenę i zauważył że na molo zajechał duży samochód, konwojowany przez uzbrojoną straż.

Stanęli blisko statku. Otworzyli drzwi prowadzące w głąb kadłuba, rzucili pomost, a potem wyładowali samochód. Wyszli z niego ludzie skuci jednym łańcuchem i ustawieni w rząd, przeliczeni przez dowódców powoli jeden za drugim wstępowali na dno okrętu. Szli z pochylonymi głowami, zmęczeni, oszołomieni niespodzianą zmianą losu, który z dna więzień rzucił ich

w dalszy, niespodziany etap. Na przodzie pochodu siwy mężczyzna nerwowym ruchem próbował poprawić okulary, by ujrzeć choć trochę świata wokoło, za nim szło dwóch robotników, potem młodzi chłopcy. Jeden z nich upadł pociągając towarzyszy. Przekleństwa i uderzenia kolbą poderwało ich na nogi. Teraz nastąpiła dramatyczna scena. Z grupy osób stojących obok, podbiegła kobieta i krzycząc i płacząc rzuciła się ku chłopcu skutemu w szeregu z innymi. Żegnała się z synem, zawisała na jego ramionach, nie chciała go puścić. Znowu brutalnie rozdzielili ich milicjanci w czarnych koszulach, odpędzając matkę i waląc ją kolbami.

Patrzyli na tę scenę robotnicy i marynarze, patrzył Stanisław i nim zrozumiał że widzi skazańców politycznych już zatrzasnęto się wejście w głąb okrętu, już auto odjechało, straż znikła. Gdy pytał się wokoło kim byli ci ludzie, gdzie ich wieziono, za co są tak skuci i bici nie otrzymał odpowiedzi. Nieufnie na niego patrzyli marynarze portowi, bo zadawał pytania niebezpieczne i niedyskretne. Aż wreszcie któryś mu burknął.

— Na wyspy Liparyjskie jadą, czy nie widzisz że to są polityczni.

I równocześnie na pomoście okrętu orkiestra grać rozpoczęła walce dla przyjemności pierwszych pasażerów.

Do późnej nocy, oparty o burtę okrętu stał Stanisław i patrzył na niknące światła neapolitańskiej zatoki, na łodzie żaglowe wracające z morza, na sygnały świetlne rozmawiające kolorami, na chmurny pióropusz Wezuwiusza. Stał i patrzył na ten widok, słyszał rozbawione głosy, muzykę grającą karnawałowe melodie, a przed oczyma miał owych więźniów zakutych i zamkniętych tam na dnie okrętu. Dla niego widok który zobaczył po raz pierwszy, brutalny widok więzienny był wstrząsem tym większym im piękniejszym, szczęśliwszym był świat wokoło.

Więc to tak — myślał — więc to tak urzeczywistnia swe tyranstwo nowy porządek społeczny. Zwyciężył terroryzując przeciwników, bijąc ich, pojąc rycyną, mordując przewodców, a teraz zwyciężywszy choć prawi o wolności, o szczęściu mas, o pokoju i wolności musi więzić i dręczyć. Więc porządek, który wprowadza nie da się utrzymać inaczej jak siłą, i prześladowaniem? Tyran rządzący Włochami by rządzić, musi poniewierać ludźmi, choć głosi że broni chrześcijaństwa, kultury, tradycji i rodziny.

Im dłużej myślał przejęty widokiem terroru, tym bardziej wczuwał się w położenie owych więźniów, których los budził w nim litość i czułość. Nie cieszyło go ani morze jakim płynął, ani widoki gwiazdzistej nocy. Wydała mu się duszna przez owo „sirocco” co wiało z Afryki i był zły na siebie, że nie zareagował, nie zaprotestował przeciw traktowaniu więźniów.

Cóż byłby poradził? Zaszkodziłby im może i sobie, a na pewno wywołałby zajście, które obito by się echem w prasie. Nie był wolny. Jechał na placówkę, musiał pamiętać, że choć jest skromnym urzędnikiem jest przecie przedstawicielem swego rządu i kraju.

A może ten brutalny obraz, który widział jest usprawiedliwiony? — myślał dalej. Może jest konieczny dla zatrzymania o wiele groźniejszych prześladowań i krwi rozlewu jakie przynosi rewolucja, rewolucja proletariatu, walka klas, komunizm i marksizm.

Na tak postawione pytanie i argumenty nie znalazł odpowiedzi. Obawa przed komunizmem i przed rewolucją była w nim tak

samo silna jak we wszystkich ludziach jego warstwy. Argument, że gdyby nie faszyzm Włochy wpadłyby w ten sam rewolucyjny chaos, który zniszczył Rosję i zalał ją potokiem krwi, był nieodpartą oczywistością. We Włoszech zwycięża mniejsze zło, zło które naród ratuje — tak przed sobą przyznawał, gdy siebie samego kontrolował.

Raz jeszcze przypomniały mu się przeżycia religijne ostatnich tygodni. Widział teraz wyraźniej niż przedtem współdziałanie Kościoła z faszyzmem, choć czytał pełno zastrzeżeń w „*Osservatore Romano*” przeciw łączeniu religii z polityką. Ale owe zewnętrzne zastrzeżenia nie złudzą go. Głębszy istotniejszy nurt łączył katolicyzm z faszyzmem, choć sobie wzajemnie nie ufały, choć oba rywalizowały ze sobą.

Tym nurtem była rewolucja. Jak, skąd przyniesiona? Tak samo jak w Polsce obawa przed komunizmem. Czy można pochód komunizmu wstrzymać, skoro powołała go do życia rewolucja? Czy jakiegokolwiek święte przymierze choćby tak zaaranżowane jak to na ziemi włoskiej, jest w stanie wstrzymać idące przemiany? Czy nie lepiej ludziom takim jak on, którzy pragną by z przeszłości zatrzymać to co jest trwałą wartością, sprząć komunizm i chrześcijaństwo razem? Przecie one nie są sprzeczne ze sobą? Przynajmniej u swych podstaw.

Lud, wszechwładztwo ludu, mas. Od XVIII wieku w tym kierunku dążyła myśl ludzka i ostatecznie lud zwyciężał w walce politycznej. Lud ma rację. Kto chce być politykiem prawdziwym, musi oprzeć się o żądania ludu, mas. Tędy prawdziwa droga.

Grały w nim i ambicje, bo chciałby znać przyszłość aby trafnie poprzez krytykę rzeczywistości siebie w niej umieścić i wpływał nań szczyry młodzieńczy idealizm. Odróżnić przed sobą nie potrafił ile ambicji a ile idealizmu było w jego myśleniu gdy widział siebie przewodcą potężnego ruchu społecznego, religijnego i politycznego, który łączył w sobie najbardziej radykalne posunięcia gospodarcze z doktryną chrześcijaństwa a nawet katolicyzmu. Marząc tak stał na pokładzie statku który niósł go do najpiękniejszej wyspy świata, wśród szumu fal i melodii tanecznych.

Pasując się ze samym sobą, widząc rozwiązanie trudności do którego dochodził powoli nie bez silnych przeżyć wewnętrznych, wreszcie zmęczony stanem na wietrze zszedł do swej kabiny i zasnął szybko twardym snem młodości, by rano wysiąść w hałaśliwym, malowniczym porcie, zajechać do hotelu i zaraz szukać owego konsula honorowego któremu miał faktycznie pomagać w zawiłych i trudnych kwestiach reprezentowania interesów handlowych Polski.

Zastał go mimo późnej pory w szlafroku przy kawie, w prywatnym mieszkaniu przy via Grande. Sylvester Bellicchi, otrzymał już w jego sprawie list z Warszawy i serdecznie się ucieszył przyjazdem młodego przyjaciela z jego drugiej ojczyzny, jak Polskę nazywał. Rozłożył ręce, trząsł siwą głową i od razu opowiedział mu że przecie i on jest Polakiem bo dziad jego Bielicki przybył na Sycylię z tysiącem walecznych Garibaldiego. Signor Sylvester był dumny że mógł szczerzyć się takim przedkiem, który dał mu między innymi prawo by należał do związku Kombatantów. Gadał długo na temat odwiecznych tradycji polsko-włoskiej przyjaźni.

Wszystko było inaczej niż Wojniłowicz sobie wyobrażał. Jechał przygotowany na pracę w urzędzie, na poznanie wybitnego obywatela włoskiego, który z życzliwości pilnował inte-

resów polskich, a poznał małego adwokata prowincjonalnego, piastującego czczy tytuł i bawiącego się w przedstawiciela dyplomatycznego państwa o którym wiedział nie wiele. Konsulat honorowy spełniany przez niego przynosił mu w załatwianiu pokątnych interesów, a mieścił się cały w szufladzie jego biurka, gdzie leżały pieczątki wizowe i teczka korespondencji.

Belicchi nie miał żadnej pracy dla Wojniłowicza. Ów interes pomarańczowy, o którym mówiono w Warszawie iż trzeba ładunku dopilnować, był już właściwie załatwiony, a polegał na prostej wymianie towarów: węgla za pomarańcze i cytryny.

Z grandelokwencją włoską łączył Belicchi zmysł kupiecki i nie od razu wtajemniczył Wojniłowicza w swe plany i postępowania. Gdy w jednym z hoteli otworzył Wojniłowicz biuro konsulatu z oporem i niechętnie zgodził się Belicchi na zdjęcie tabliczki ze swego mieszkania i przekazanie tam pieczętek i aktów. Ale Stanisław chciał pracować, musiał być czynnym, nawiązać stosunki handlowe, rozwinąć akcję kulturalną, turystyczną, propagandową bo tak przecie nakazywały wskazówki, otrzymane z Warszawy. Silvestro ustąpił przed zapalem młodego współpracownika i pogodził się z jego inicjatywą, zwłaszcza że planowane na wiosnę wzniesienie pomnika dla uczczenia Mierosławczyków którzy padli za wolność i zjednoczenie Sycylii wróżyło mu honory, a może nawet order „Polski Odrodzonej”.

Afery handlowe, jakie Belicchi prowadził były proste, a polegały na braniu prowizji od dostawców pomarańcz i cytryn za eksportowany towar. Nie były to ani interesy duże ani skomplikowane lecz dostarczały Sycylijczykowi zarobków, które kapitalizował w miejscowej Kasie Oszczędności.

W takiej atmosferze przebywał Stanisław od dwóch miesięcy, mieszkając w hotelu i nudząc się śmiertelnie, gdy nareszcie zawitały do portu „Bug” i „Narwa” z ładunkiem śląskiego węgla. Było to w lutym, a przedwiośniu sycylijskim i statki wyrzuciwszy czarny ładunek miały zabrać owe pomarańcze i cytryny w ilości oznaczonej w umowie. Rzeczą młodego urzędnika było dopilnować by gatunek był dobry, tak jak dobrym był przywieziony węgiel. Dziwiło trochę Stanisława że tak późno następuje ten handel wymienny, kiedy zbiory są dawno ukończone a owoce długo leżały w składzie, ale Belicchi wytłumaczył mu że jest to drugi późny zbiór dojrzewający właśnie na zimę. Był podniecony gdy Wojniłowicz oświadczył mu, że pójdzie do portu dopilnować ładunku i wagi, powoływał się na niejasne listy z koncernu Zatowskiego, w których proszono by przysłano ten sam co przeszłego roku towar i w tej samej ilości.

Wojniłowicz prędko odkrył przyczynę tego podniecenia. Hurtownik owoców dostarczał o kilkanaście ton pomarańcz i cytryn więcej, ale zasadniczy owoc dawał suchy nie przeznaczony na eksport. Interes polegał na tym że koncern Zatowskiego przekazywał rządowi umówioną ilość i to złego towaru a nadwyżkę dobrego towaru sprzedawał i z tego miał czysty zysk. Zatowski nie był takim dobroczyńcą za jakiego przedstawiał się organizacji eksportu śląskiego węgla, Belicchi nie był takim bezinteresownym przedstawicielem Polski, za jakiego uchodził.

Gdyby Wojniłowicz zachował spokój i nie był tak oburzony odkryciem owej transakcji, gdyby nie pokłócił się niepotrzebnie ze starym konsulem, gdyby tak gwałtownie nie oburzył się że hurtownik próbował mu dać prowizję będącą w istocie łapówką, gdyby był zachował takt wobec kapitanów polskich statków,

byłby może postawił na swoim i wysłał do Polski owoc dobry, pełnowartościowy bez nadwagi, będącej w istocie łapówką. Ale był tak pewny, że na gwałtowność wioską należy odpowiedzieć gwałtownością, na nieuczciwość importów i eksportów trwaniem przy umowie, że od razu odkrył swą postawę i naraził się na to iż towar załadowano bez niego, a statki odplynęły po cichu.

Wówczas wysłał do Warszawy poprzez konsulata w Rzymie długi raport opisujący wypadek, nie tając swego oburzenia. Konsul generalny przeczytawszy pismo postanowił je sam zawieźć do Warszawy i oświetlić odpowiednio w ministerstwach. Gorliwość młodego urzędnika psuła dobre stosunki handlowe polsko-włoskie, utrudniała uplasowanie naszego węgla na Sycylii gdzie zdobyć rynek było trudno, rozgoryczała miejscowych eksporterów którzy przecie jak najlepiej wywiązywali się z zadania. Pan konsul w rozmowie z sekretarzem Ministerstwa Włyńskim postanowił sugerować konieczność przeniesienia tego Wojniłłowicza na inną mniej ważną placówkę konsularną, a na jego miejsce chciał przez przyjaciół zaproponować znacznie sprytniejszego i zdolniejszego kuzyna swej żony.

Umówiwszy się tak z Bellicchi, który zjechał do niego osobiście, skarżąc się że zamiast pomocy w młodym urzędniku ma tylko kłopot, konsul narzekał przed ambasadorem na niezdrowe stosunki personalne w Ministerstwie wysyłającym na placówki niedojrzałych młokosów. Przyłączył się do tej rozmowy major Kambień urzędnik Wojskowego Attachatu, który zapoportował że ów młody Wojniłłowicz prowadzi niepotrzebne dyskusje polityczne. Musiał donieść o nich do centrali. Z centrali nadeszło poufne pismo, iż w swoim czasie lewicowe przekonania Wojniłłowicza uczyniły jego pozycję niemożliwą i że zasadniczo trzeba go odwołać ale dopiero po jakimś czasie tak aby uniknąć rozgłosu.

Znowu zapadł wyrok na Stanisława za jego krok nierozważny i niedojrzały, podobny do tego jak spór z księdzem Matusikiem. Różnica była tylko tu, że wszystko dokonało się bez jego wiedzy, w ciszy rozmów między paru urzędnikami, a świadectwo wystawione mu nie było nigdzie napisane chyba w personalnym indeksie zastrzeżonym do użytku wiceministra Włyńskiego.

Ten uspokoił jak umiał Zatowskiego który wpadł doń wściekły, poparty telefonem Ankwicza, zgorszonym utrudnieniem zagranicznego handlu przez etatyzm i biurokrację. Grożono Włyńskiemu interpelacją w Sejmie, pieklił się Zatowski że jego praca na polu przemysłu wszędzie napotyka na opór socjalistów, „którzy sami nie podejmując inicjatywy drugim nie dają jej także podjąć”.

Zdaniem Włyńskiego, który aferę ujął w swe ręce i obiecał wszystkich zaspokoić, krzyku około sprawy nie warto było robić.

— Ty Hipolitu nie ciskaj się za głośno bo tak będzie lepiej dla ciebie. Jeszcze dwa trzy miesiące potrzynam tego młodzieńca w Palermo niech się tam wynudzi lub wybawi, a potem wsadzę go gdzieś, gdzie naprawdę nie będzie miał nic do roboty. Ot na przykład do Genewy do Ligi Narodów.

I rzeczywiście Stanisław nudził się bardzo, bo w konsulacie nie miał nic do roboty, a stosunki z Bellicchi zepsuł sobie doszczętnie. Czytał, zwiedzał, wybierał się na Etnę i do Syrakuz. Myślał dużo o społecznych i ekonomicznych sprawach, zabierał się do napisania paru artykułów o gospodarce rolnej na Sycylii, gdy dnia jednego zaraportowano mu że jakaś pani, Polka, ma do niego interes w sprawie przedłużenia paszportu.

d.c.n.

WYCIECZKA

W poniedziałek 18 sierpnia roku bieżącego grupa aktorów wyjechała ciężarówką do Jeleniej Góry, żeby tam zająć dom dla Z.S.M. (Związku Scen Małych). Z widzenia czy opinii znali się oczywiście wszyscy, jak to bywa między ludźmi jednej branży, ale osobiste zbliżenie nastąpiło dopiero przy tej okazji. Było ich razem dziesięć osób: znany amant płocki Mierzejewski z siostrą, uroczą panią Gubinowiczową, kierowniczką owego przyszęłego domu, Anna Rzeczycka z córką, Minich ze swoją kochanką (każdy wie, kto to jest Minich, więc nie trzeba o tym pisać), piękna pani Doleżałowa, eksdziennikarka, obecnie kierowniczka stołówki Związku, profesor W. S. D. (Wyższej Szkoły Dramatycznej) Chwilowski, panna Eulalia i szofer. Początkowo aktorzy zdradzali tendencję, żeby się trzymać razem, ale właściwie każdy miał ochotę stowarzyszyć się z kimś nowym, wszyscy wysuwali jakieś dachowe anteny czy macki, już gotowe do przyszłych sojuszów. I tak w profesorze dawała się wyczuć dążność do pani Gubinowiczowej którą zresztą znał od dawna i którą sam wysunął na to stanowisko, zaś Rzeczycka oscylowała w kierunku Minicha i Doleżałowej, których również od dawna znała, z którymi pracowała w Związku warszawskim, sądziła więc, że miejsce jej i Krystyny zarezerwowane jest w tej podgrupie, winnej niby ze sobą sympatyzować, a nawet bronić się wobec tamtej. Ale znowu wszyscy razem byli członkami tego samego związku, jechali, żeby czegoś wspólnie dokonać i tu byli całkowicie solidarni. Dalej, związek był przecież częścią Państwa, reprezentowali więc tu, na zachodzie, interesy Państwa i spełniali jego postulaty. Jednak, będąc członkami związku, mieli też i wobec niego cele zaczepno-odporne, chcieli na przykład wytargować najwyższe diety i tu niejako wyobcowali się ze związku, albo chcieli zdobyć jak najwięcej benzyny i obronić swój stan posiadania przed innymi, więc znowu chcieli się tym samym wyodrębnić od reszty obywateli. Ale mimo tych kiełkujących zamiarów pierwsze tendencje były raczej scalające, wszyscy silili się okrzacać, jak dobrze są dobrani i może nawet nie przeczuwali niebezpieczeństwa, a te wszystkie dążenia to zachodziły na siebie, to się od siebie oddzielały jak kręgi z kolorowego szkła w teatrze które służą do oświetlenia sceny, wzmacniając się niejako jeden przez drugi albo osłabiając, to znowu, już nie jak te latarnie, chygotały się, opadały, i znow wyskakiwały, tworząc nierówności i chwilowe przewagi tak, że na całe godziny czy nawet dni dawało się zapomnieć o jednych na korzyść drugich. I od razu ułożyło się wszystko inaczej niż można było przewidzieć bo tendencjom scalającym grupy każdy z miejsca prawie przeciwstawił osobiste zamierzenia.

Niełatwo to dzisiaj tak dokładnie zrelacjonować, a temat wymaga dokładności, jak zadanie matematyczne, bo tu by trzeba teraz, jak „Kulawy Diabeł”, wejść do duszy każdego i podać bez omyłki, co on sobie myślał, wyjeżdżając. Anna — że od niej zaczniemy — miała na przykład w pamięci poprzednią wycieczkę, gdzie była jedyną kobietą wśród kilku mężczyzn i gdzie wobec tego interes grupowy raczej się koncentrował, — i oczekiwała podobnych efektów, choć sobie tego jasno nie uświadamiała. Nikt też nie uświadamiał sobie jasno faktu, że Minich chciał być

po prostu z Zosią, wyrwawszy się spod kontroli pani Irei i chciał żeby się Zosia dobrze czuła, nikt się też nie zorientował, że Doleżałowa, której on przecież wypłacał pensję, będzie mu się podlizywać kosztem reszty towarzystwa a wobec Gubinowiczwej będzie okazywać obłudną i przesadną niby bezstronność, w gruncie uniżenie i zachwyt. Zwiódł też niektórych romansowy Mierzejewski — ale o tym potem, w jaki sposób on ich zwiódł. Tu się właśnie okazało, że wszyscy, jak by się mógł spodziewać powierzchowny obserwator, bynajmniej nie byli obojętni i niejako tylko, jak klisza fotograficzna, gotowi na przyjęcie impresji. Nie, każdy przywłókł tu za sobą swój dowód osobisty nie tracąc żadnej z cech, sobie właściwych, a i towarzysze nie tacy, od których się dopiero czegoś oczekuje, ale już od razu spreparowani jako wrażenie byli sympatyczni albo antypatyczni i naładowani wzajemnymi pragnieniami, każdy innymi i w innym natężeniu. Tu też wypadnie dodać, że w chwili wyjazdu w wozie siedziały jeszcze dwie panie które jechały do Łodzi o czym nikt w zamieszaniu nie wiedział. Wszyscy sądzili, że owe obywatelki związane są z grupą inaczej niż mechanicznie, obdarzyli je hojnie, zarówno jak resztę uczestników ładunkiem uczuć i spodziewaniem, co w następstwie okazało się zupełnie stracone bo tego samego dnia po paru godzinach wysiadły, usuwając się całkowicie i na zawsze z życia grupy.

Na początek towarzystwo rozmawiało o sztuce na której mniej albo więcej znali się wszyscy, a ci którzy znali się mniej dobrze czy nawet tak mało, że to mogło uchodzić za kompletny brak znawstwa przedmiotu przezornie milczeli albo dorzucali tylko takie uwagi, które mogły się nadawać w każdym wypadku, więc uwagi sytuacyjne, albo formułujące stosunek Niemców do teatru czasu okupacji, albo inne, usytuowane w tej samej odległości od centrum dyskusji. W samym jądrze rozmowy obracali się tylko ci, dla których sztuka była, jak mąka dla piekarza, ci bawili się, śmieli, entuzjasmowali czy martwili, przerzucając sobie nawzajem slogany i indywidualne skróty myślowe, pewni zrozumienia i przyjęcia. Mówili też sobie komplementy ze swobodą ludzi, obytych towarzysko przechodząc od cech fizycznych do przesadnej aprobaty i nawet uniżenia dla cudzego, jakże niepojętego wysiłku, wysuwając jednocześnie swoje znawstwo i skromnie nim błyszcząc.

Rzeczycka znała Mierzejewskiego ze słyszenia, ale widziała go po raz pierwszy. Słyszała o jego zdolnościach, które zresztą niepełnie mogły się ujawnić, jako, że był krótkowzroczny, co mu bardzo przeszkadzało na scenie, gdzie przy swoim emploi nie mógł używać szkieł. Teraz usiadł tuż przy niej i od razu tak blisko, że początkowo nie wiedziała, gdzie uciec od jego rąk i kolan, a potem zaaprobowała je całkowicie i za prędko. Że było to zbyt pospiesznie — zorientowała się dopiero później, narazie zdawało jej się to miłe. Tak, jeżeli sobie dobrze i po kolei wszystko przypomnieć, to chyba właśnie Anna pierwsza rozbiła grupę, na czym sama najgorzej wyszła. Poświęciła ją lekko-myślnie i bez żalu, dopiero potem pluła sobie w długą, siwą brodę, ale może znów nie z najlepszych pobudek — przyzwoitości czy moralności, nie, po prostu dlatego tylko, że na krótko jej się to przydało. Było pewne, że miłość i jedzenie zdobywa się samotnie, więc i Anna bez żalu porzuciła swoją grupę sądząc, że powodują ją motywy innego rządu.

Wychodzi więc na to, że Mierzejewski zaraz tego pierwszego dnia oszalał dla Anny, która cieszyła się z rozrywki na te kilka

dni podróży i myślała z dumą, że czy jest sama, czy wśród czterech ładnych i młodych kobiet, zawsze najbardziej zwraca uwagę mężczyzn. Dodajmy jeszcze, że Mierzejewski wcale jej się nie podobał, a podobał jej się profesor Chwilowski. Wydał on jej się starszy, czy bardziej męski, a może mniemała, że lepiej by jej odpowiadał, jako kochanek ale ponieważ niczym się nie zdradziła i nie mogła zgadnąć, czy mu się podoba, pomyślała ostatecznie, że to mniej więcej obojętne a na parę dni i ten będzie dobry.

Wyodrębniona więc z grupy swoim flirtem przegadała bez trosko całą drugą połowę tego pierwszego dnia zadowolona, że się podoba, odczuwająca pierwsze podrażnienia kobiecości, radość z szybkiej jazdy, i ciepło letniego krajobrazu, odgrodzona i fizycznie od reszty towarzystwa, bo siedziała w ławce ostatnia, a Mierzejewski przed nią. Założywszy szczupłą nogę na szczupłą nogę, odrzucając co chwila swoją jasną głowę z binoklami na zadartym nosie w tył w atakach młodzieńczego śmiechu, bawił ją błyskotliwymi dowcipami i „konwersacją” — to właśnie słowo tu się nadaje, takie to było powierzchowne i zabawne. Odbiwszy się tak od innych, nie zorientowała się tak prędko, że niesłychanie i zupełnie nieproporcjonalnie do przyjemności jakie stąd czepie osłabia swoją pozycję. Dlaczego Anna tak osłabiła swoją pozycję w grupie?

Anna osłabiła swoją pozycję: 1) bo każdy z członków grupy liczył w pewien sposób na jej osobę wyznaczając jej miejsce w programie wycieczki, każdego więc zawiodła, 2) obraziła każdego swoim odizolowaniem z przyczyn już nie grupowych, ale indywidualnych, czego nie przewidziała.

Obraziła więc Gubinowiczową, która kochała brata i była o niego zazdrosna, a przy tym kochała też jego nieobecną żonę i o nią już nie była zazdrosna, więc nie życzyła sobie chwilowego zastępstwa, a zawsze się bała o stałe. Obraziła piękną panią Doleżalową, która słusznie taksując ją na swoje lata zazdrościła jej tak zwanego „powodzenia” i czuła się dotknięta w swoim niewieścim honorze co zaraz wprawnie przetransponowała o oktawę wyżej. Obraziła pannę Eulalię, której od razu i gwałtownie spodobał się Mierzejewski. Obraziła pannę Zosię, tę wprawdzie niejasno, ale dotkliwie, jakoś w ogóle, że ona wprawdzie niegodna, żeby na nią zwracać uwagę, ale żeby tak znowu wcale... Obraziła wreszcie Minicha, który początkowo nie solidaryzował się z nikim, prócz Zosi, ale który mimo to chciał, żeby się z nim liczone. Nie obraziła tylko dwóch osób: Krystyny, która się cieszyła, że matka jest wesoła i profesora, który w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Ale i te dwie osoby wskutek nieświadomych usiłowań czy sugestii grupy zwróciły się przeciwko niej.

Stało się tak: panna Eulalia była śmieszna. Najpierw więc i od razu śmieszne było jej imię, imię z innego stulecia. Gorzej jeszcze, kiedy przyznała się z zażenowaniem, że w domu nazywano ją Lalą. Zaczęło się od tego imienia a potem i nazwiska, które zresztą brzmiało normalnie i po ludzku, dajmy na to Płoska. Ale ktoś zapytał Gubinowiczowej, czy ją zna i jak ona się nazywa?

— Ja miałabym znać takie coś? Abo ja wiem?

Bez uwagi na logikę odpowiedziała od razu na dwa pytania. Ktoś na to, że Lala nazywa się — znowu normalnie i po ludzku, ale nie tak — że nazywa się Ryłkówna. Niechże będzie Ryłkówna. A na imię? Zdaje się Eufrozyna.

— Panno Eufrozyno! — zawołał profesor tonem, jakby wołał „Burek”!

„Stańta w ponsach” — dobre wyrażenie, co? — i sprostowała, że ma na imię Eulalia. Grupa roześmiała się niegrzecznie. Stała przed grupą sama jedna, wyobcowana, ciągła, pomimo wysiłków, śmieszna, w tym wieku jeszcze panna. I „panno” i „Eulalio” — wszystko w niej było śmieszne. Mówiono do niej Aldono. Adelaido. Chimeno. Co robić? Rozejrzała się za aliantem i usiadła u stóp Anny i Mierzejewskiego na oponie, czynność, którą uwieńczył pełny sukces.

Bo Eulalii nie wystarczyło bierne poczucie obrazy, postanowiła walczyć przeciw grupie. Usiadła więc, jako rzekło, u stóp Anny, i Mierzejewskiego na oponie i coraz wtrącała się do rozmowy. Patrząc tak z dołu na Mierzejewskiego długimi, niebieskimi oczyma, ciągle się czemuś przeciągle i mocno dziwiąc, błyskając zębami okrągłymi, wypukłymi i iryzującymi, jak przysłowiowe perły, zdołała go wreszcie zainteresować. Nie ucuwał już żalu, że przerywa jego odosobnienie przy Annie, co Rzeczycką bardzo rozgniewało. Ani się też opatrzyła, jak pod wieczór sytuacja już była zmieniona. Mierzejewski zaczął odpowiadać na zdziwione pytania panny Eulalii, pochylał się coraz niżej, żeby złowić spojrzenie jej długich, niebieskich oczu i wreszcie, tak się nią zajął, że bagatelizował najdowcipniejsze powiedzenia Anny nie tyle milczeniem, ale przesłaniem ich w stronę Lali, która, chichocząc wdzięcznie przy wielkim odslanianiu białych ząbków, przyjmowała je z zadowoleniem.

Cóż tymczasem robi pani Gubinowiczowa? Jednocześnie, oto, co nas zabija. Idzie tu przecież kilka akcji jednocześnie, uczciwie podliczwszy cztery, które musimy wyliczać jedną po drugiej, bo nie ma sposobu graficznego, chyba średniowieczne malarstwo czy teatr kościelny, który próbował jednocześnie kilku akcji. Pisarze, którzy tego samego kusili się słowem zgubili się w niemodnych już dziś kierunkach literackich, jak symultaneści francuscy, czy amerykańscy, z czego my rezygnujemy.

Cóż więc tymczasem robi pani Gubinowiczowa? Pani Gubinowiczowa, osoba niezmiernie żywa, przez cały czas sympatycznie pokrzykuje i depcze po nogach, to jest jej główne zajęcie. Mała i krągła, w przeciwieństwie do długiej i chudej Rzeczyckiej, toczy wśród obecnych swoje ładne, ostro zakończone piersi, mruży, śpiewa, tańczy i jako się powiedziało depcze po nogach. Osoba gadatliwa zawsze wszystkich przegada, najobronniejsze twierdzą poddadzą się wreszcie z nudów. Była zresztą piekielnie, perwersyjnie wprost zajmująca. Najpierw oglądała pejzaże, trafnie wskazując najpiękniejsze spiczastym paluszkiem, pokrzykiwała z zachwytu. Kiedy poczuła, że wytężona w jej kierunku uwaga towarzystwa słabnie zaczęła śpiewać, a była nie tylko muzykalna ale i z pamięcią. Zanosila się więc żywiołowo od nieprzystojnych góralskich i chłopskich piosenek. W braku profesora, który usiadł przy szoferze, zwróciła atak w kierunku najmniej obronnym — w stronę Krystyny. Podawała jej wydzwięki najmniej sprośne, chwytala ją za ręce, poszturchiwała, a wreszcie, kiedy samochód przystanął nad jakimś jeziorem, namówiła by się przebrać w kostium kąpielowy, i obie razem, spuściwszy się zwinnie po kole z wielkim pokazywaniem wszystkiego, co jeszcze i w tym stroju pozostawało do pokazania, skoczyły — poetycznie się wyraziwszy — w toń jeziora, gdzie znów z tymi samymi krzyckami, wrzeszczkami, próbnym

trzęsieniem się na wietrze i prawdziwą gęsią skórką, zaczęły się, ciągle w myśl tej samej metody artystycznej, „pluskać”.

Krystyna miała lat trzynaście, była nieświadoma i szczęśliwa, jak Ewa przed zjedzeniem jabłka. Jej dzieciństwo, miłość i wierność dla matki były ponad wszystkie próby. Ale teraz, kiedy zyskała atrakcyjną przyjaciółkę w osobie kobiety dorosłej — oszalała. Wpatrywała się w nią nieprzytomnymi z zachwytu oczyma, trzepotała i śmiała się, jak ona, a na jej nieświadome, choć imperatywnie wygłoszone wezwania przemieniała się z przyczyn czysto psychicznych z dziecka w pannę, entuzjastycznie grzebiąc swoje dzieciństwo. Na brzegu, stojąc w samochodzie, profesor Chwilowski rozpałał się dla pani Gubinowiczowej ponurym ogniem namiętności.

Tymczasem i pani Doleżałowa nie spała. Licząc pieniądze natrafiła na niepokojące pozycje, które pospiesznie przegrupowywała w myślach. Niektóre osoby, wyjeżdżając, dostały ze Związku diety, ona jako ekspert, Anna i Minich jako członkowie zarządu. Gubinowiczowa, jako przyszła urzędniczka. Gubinowiczowa ma ze sobą brata — zachwycająca para! Minich ma Zosię — jego rzecz! Ale Anna z córką są obie tak chude, a tak dużo jedzą. Zapuszczając się głębiej w kraje odzyskane myślała stylem dawnych swoich artykułów — spostrzegamy jak żywność staje się coraz rzadsza. Anna + Krystyna objadają wszystkich. Trzeba im to będzie delikatnie powiedzieć.

W ten sposób Rzeczycka wyrzucona została całkowicie i celnie poza obręb grupy. Stało się to tak szybko, że nie zdążyła zmienić sposobu postępowania, przez najbliższych parę godzin nowego poranka zachowywała się tak, jakby wszystko było po staremu, piętrzyła błąd na błędzie, zdumiona objiała się o kamienne przeszkody gdzie wczoraj był płytki i ciepły piasek. Ponieważ tylko to, co robiła sama, wydawało jej się naturalne, a nienaturalne to, co robią inni, drętwiała z przerażenia, że znalazła się wśród wrogów, kiedy wczoraj wyjechała z przyjaciółmi. Zresztą na potrzeby grupy był już jeden „outcast of the island” — panna Eulalia — i to uspakajało. Zdawało się, że jeden grupie wystarczy. Bo los Chimeny był już przesądzony. Rano grupa spytała Chwilowskiego, co go właściwie łączy z Eufrozyną i dlaczego wziął ją ze sobą?

— Ja? — zdziwił się niemniej szczerze, jak przedtem Gubinowicz — Ja ją zabrałem? A mnie ona na co?

Nikt więc nie przyznawał się do panny Lali i teraz dopiero okazało się, że przydano ją profesorowi, z biura szkoły, żeby przywiozła maszynę do pisania — o ile taką gdzieś znajdzie — i że zresztą przyjęto ją tydzień temu i nawet nie zdążyła jeszcze objąć urzędowania.

— Co, więc pan nie zna nawet jej nazwiska!

— Nie zaglądałem do jej dowodu. Ulikówna, czy jak!

Tymczasem więc grupa rozbiła się na kilka podgrup, które przedstawiały się następująco: Doleżałowa + Gubinowiczowa + profesor + Krystyna = jedność. Minich + Zosia = dwa, ale z aprobatą tamtych. Lala + Mierzejewski = trzy, wprawdzie bez aprobaty, ale Mierzejewski tak się zawsze wszystkim podobał przez te odrzucone blond włosy i śmiech, że to chroniło Lalę. Był grzeczny, miły, wesoły, nie zepsuty scenicznymi sukcesami, dla wszystkich jednako uprzejmy i taktowny, czego się nigdy nie dało powiedzieć o takiej Rzeczyckiej, a zajął się Lalą tak żywiołowo i tak zabawnie o tym mówił, że wszystkich „ujął za serce”. (Dobrze zastosowane, co?)

Anna więc została sama, a że myślała powoli, zdała sobie z tego sprawę dopiero drugiego dnia pod wieczór, kiedy Doleżałowa zrobiła jej awanturę. Jak wiemy, Doleżałowa zapowiedziała sobie, że taktownie i delikatnie zwróci Annie uwagę na sytuację gospodarczą wynikłą wskutek tego, że obie za dużo jedzą, pomimo chudości. Zaczęła więc, lekko tylko podnosząc głos.

— Pani Anno, pani jedna nie wpłaciła dotąd reszty udziału, a panie obie najwięcej jedzą. Dałam to pani delikatnie parę razy do zrozumienia, ale pani widocznie nie rozumiała.

Rzeczycka chciała się wycofać z wycieczki, potem chciała odjechać sama. Manifestacyjnie podsuwano Krystynie pod nos bułki z szynką, ale wierna nimfa pozostała nieczuła na pokusy. Zrobiła się awantura, wszystkim życie zbrzydło. Wtedy Anna zatrzymała wóz w jakimś mieście, wzięła Krystynę pod rękę i poszła do stołówki PURu gdzie obie dostały za darmo po dwa olbrzymie talerze zupy i parę pajd chleba z marmoladą. Istotnie, nic nie można było kupić, ale jedzenia było po dziurki w nosie, toteż zaraz po tym obiedzie wyklarowała się sytuacja, bo auto stanęło, wszyscy usiedli znów koło jakiejś wody, a Minich poszedł z panną Zosią na grzyby.

Minich, jako się rzekło, odszedł, ich bułki z szynką leżały z boku na papierze nietknięte, a wszyscy na nie patrzyli. Wtedy to Doleżałowa zreasumowała sytuację między nią a Zosią, że to dziewczyna i blada i nieinteresująca i w ogóle nic, ale tak się w nim, starym człowieku i siwym, i w ogóle co, tyle, że wielki aktor jak to się mówi — zakochała, że grozi samobójstwem, a taka przy tym wysoko etyczna, że odjeżdża z nim, żeby nie przeszkadzać tamtej, no tej pani Irce i nie gasić ich domowego znicza.

Na to hasło każdy dorzucił podobne choć rozmaicie sformułowane swoje spostrzeżenia i obrobili nieobecną parę, że tak rzekę, na perłowo, co w sumie dało potworny obraz nieletniej uwiedzionej i starego satyra i ten wypróbowany sposób znów scalił grupę, niepowrotnie, zdawałoby się, rozbitą, mobilizując ją przeciw tamtym. Wprawdzie po dwóch godzinach Gubinowicz z Chwilowskim też poszli na grzyby, a po trzech w ślad za nimi podążyli w inne strony Mierzejewski z panną Elwirą, a „przy ognisku” (dobrze powiedziane, co?) pozostały dwie stare kobiety, Anna + Doleżałowa z Krystyną, ale już grupa przedstawiała się tak. Gubinowicz + Rzeczycka + Doleżałowa + Krystyna + Mierzejewski + Chwilowski + Adelaida — contra Minich + Zosia.

I może byłoby tak zostało, gdyby wieczorem znów się wszystko nie zmieniło z przyczyn innego rzędu. Minich i Anna zabrali z sobą parę tomików wierszy młodych kiedyś poetów, materiał na wieczór artystyczny, z jakim ewentualnie mieli wystąpić w Jeleniej Górze, żeby zdobyć sympatię miejscowych władz. Teraz chętnie dali próbkę swojego kunsztu (jak to płynie!) niebardzo się nawet każąc prosić. Mierzejewski nic nie miał ze sobą, Anna nie znała jego ról więc nie mogła mu dawać repliki, nie pomyślał o tym, mniejsza! Rzeczycka, ciągle się izolując, choć teraz już z własnej woli, bo będąc znów przyjęta do podgrupy jak wyżej sformowanej nie czuła własnej izolacji, mieszkała wtedy z Krystyną w domu PPR najuprzejmiej jej zaproponowanym — ale uroczyście na ten wieczór zaproszona przyszła do hotelu gdzie mieszkała reszta towarzystwa i manifestacyjnie ugryzła białymi ząbkami kawałek bułki z szynką, którą równie manifestacyjnie podsunęła jej Doleżałowa.

Uczę artystyczną rozpoczął Minich, a wszyscy wiemy, co to za aktor. Stał koło stołu na którym oparł się ręką, światło lampy padało z góry na jego twarz, a jego wielki, dźwięczny i okrągły głos toczył się jak metalowa kula po zacisznym pokoju. Grupa słuchaczy rozmieściła się na fotelach i kozetkach w pozach właściwych słuchaczom, a uwiecznionych tak sympatycznie na popularnym choć nie wiadomo przez kogo malowanym obrazie „Beethoven”. Między tymi pozami były: siedzenie w pochyłej postawie z głową wspartą na ręku (3 osoby), półleżenie na kozetce z ręką wspartą na łokciu albo na dłoni (4 osoby) i wreszcie leżenie całkowite i zupełne (1 osoba). Niczego nie brakowało do dobrego nastroju, do tak zwanej atmosfery, wszyscy byli pogodzeni słuchaniem, najedzeni i znajdowali się pod wpływem przyjemnego odurzenia, bo profesor Chwilowski jak zwykle postawił wódkę, a półcień działał w sposób sobie właściwy i własnymi, wypróbowanymi metodami. Kiedy Minich czytał, Rzeczycka oczywiście tworzyła grupę razem ze słuchaczami, tworząc we trójkę z Gubinowiczową i profesorem grupę, ale nie ideową, tylko plastyczną. Gubinowicz leżała na kozetce (to była właśnie ona), wypita trochę za dużo i była cichsza, niż zwykle. Profesor siedział u jej nóg z jednej strony, Anna, wsparta na wyciągniętej ręce, z drugiej, była to urocza grupa trzech pięknych i młodych jeszcze osób. Rude włosy Anny były jedynym punktem, który wchłaniając światło lampy świecił w ciemności, a wielkie, przymglone oczy Gubinowicz błyszczały jak dwa jeziora przez trzciny rzęs. Ręce Anny i profesora szukały się i znajdowały, zaplatały się i rozplatały cienkie niecierpliwe palce, czasami szukały spojrzenia. Między nimi toczyła się srebrna kula głosu Minicha, metalicznie błyszcząc w ciemnościach.

Kiedy Minich skończył, Anna wstała i wstąpiła w krąg światła pod lampą. Teraz stała się najpełnej sobą, kiedy miała najpełniej służyć innym. Wypowiedzieli wspólnie słynny dialog z „Kloryndy”, potem coś jeszcze razem, potem Rzeczycka deklamowała sama. Była uniesiona słowami poetów, zwielokrotniali jej siły, była niezwykczona. Szumiąc jeszcze ich słowami, jak muszla, wróciła w obejmujący cień, nikt nie klaskał. Prawdziwa sztuka żyła im włosy na głowie.

Anna wyszła na balkon, za nią Doleżałowa, pogodziły się zupełnie, stojąc pochylone przez poręcz, patrzyły niewidzącymi oczami w świetność nocy i szepcząc słowa uniesienia. Za chwilę przyszedł profesor, Gubinowicz, chwając się na ładnych nogach, poszła spać. Stał za Rzeczyką, która perwersyjnie wygięła się ku niemu, dotykał jej ciała kolanem, głaskał, co należało głaskać, obejmował gorącymi dłońmi. „Divide et impera” myślała Rzeczycka zagadując dowcipnie Doleżałowa i cierpiąc z upojeniem pieśczoły — ten przynajmniej unieszkodliwiony. Istotnie, Chwilowski, jak przystało na dżentelmana wstrzymał od owego wieczora wszelkie kroki nieprzyjacielskie względem Anny. O tej samej godzinie — ciągle bieda z tą synchronizacją — Mierzejewski ze śmiechem zerwał kwiat dziewictwa panny Eulalii. Więc następnego poranka znów wszystko było inaczej.

A wkoło nich, mówiąc słowami wieszczki, ciągnęły się lasy, tak świeże, tak powabne i tak pełne krasy! Anna z Krystyną poszły po deszczu na Kinast. Któż opisze, jak tam pięknie, i z którego stopnia pochyłości najpiękniej? Nie wiem, nie ja, bo to by niezmiernie przedłużyło i tak długą relację. Mogę tylko uszeregować pewne elementy tego piękna, które czeka elegii. Więc

najpierw: wyniesienie + odosobnienie. Po drugie: wielkie głązy narzutowe między którymi rosną świerki najpoważniej rozmieszczone wskutek zbiegu okoliczności. Ziemia w gwiazdy górskich ostów, jak niebo. No i to niebieskie wokoło, dalekie płynące = kolor. Nie zapomnijmy o zapachu żywicy, przenika on wszystko a więc i nasze płuca, a tam na skraju tamtego lasu skoszono siano z dużym procentem tymotki. Matka z córką jady maliny leśne maleńkie ale pełne niezapomnianego smako-zapachu i podziwiały na przeciwieglým skłonie zwieszające się trzy tęczę jak kapryśnie przewieszony szal.

Niech jednak te wzrokowe a w ogóle zmysłowe uciechy nie zamykają nam oczu na twardą rzeczywistość, bo za powrotem zaszło coś, co znów wyrzuciło Annę poza obręb grupy.

Przy obiedzie zaczęli wszyscy narzekać, słysząc ich głosy, jak głosy chóru ukraińskiego, który koncertował w Warszawie w roku 1923, gdzie przemawiają soliści, nim się połączą w unisono. Więc najpierw huczy słynny bas Minicha.

— Że też, doprawdy, nie ma w tej dziurze palenia! Wszystkie papierosy mi wyszły.

Odpowiada sopran Gubinowicz.

— Ani ciasteczka!

Na to alt Doleżałowej.

— A bo tu kto o tym myśli? W ogóle aprowizacja pozał się, Boże!

I roześmiany tenor Mierzejewskiego.

— Winszuję przyjezdnym!

A potem unisono, bo Zosia przez nieśmiałość nie odzywała się nigdy inaczej, niż w chórze, a Eulalia korzystała z każdej okazji, żeby coś grupowo wykonać.

— Ciągną ludzi, ciągną, a to wszystko propaganda. Łóżka bez pościeli, garnków nie ma, chleba na wolnym rynku brak! Jakby to się długo mogło utrzymać, taka tania wyspa na oceanie drożyzny! Wszystko w łeb weźmie, a tymczasem ludzi męczą.

Ale wtedy zabrał głos szofer, jedyna to była jego publiczna wypowiedź, jako że był małowówny — „i poglądając w niebo, rzekł pełen natchnienia”.

— Państwo narzeka, a mnie się tu podoba. Bo to przejściowe, a będzie dobrze.

Rzeczycka skoczyła na równe nogi (w przenośni). Trzymała oto wreszcie przed sobą grupę, twór bezkształtny, a wstrętny, wykazujący wszystkie indywidualne cechy ujemne, wzmożone przez współdziałanie, a żadnej dodatniej! I walnęła w kupę z uciechą, z szaleństwem, nieomylnie! Nawiązując do uwagi szofera, który się w tym z nią sprzymierzył, i kontenta z tego sprzymierzenia, powiedziała autorytatywnie.

— Tak mówić nie wolno. Jak to, państwo narzekają, że tu tak jest, a czyja to wina, jak nie nasza? Biegnijmy tu, zaludnijmy te czekające przestrzenie, zostańmy tu, zmienmy! Jesteśmy jak żołnierze, rozkaz wydany. Nikt się żołnierza nie pyta, czy mu dobrze, on walczy i wie, za co walczy! I my wiemy, za co walczymy czeka nas olbrzymia nagroda! Choćbyśmy mieli trupem paść, zostaniemy tu, na tym miejscu!

A mówiła tak uniesiona, czując, choć się nie odwróciła, że za nią stała ta wielka i potężna, ta marmurowa, którą rzeźbią Fidasze na tympanonie Partenonu, jak się miesza między śmiertelnych, którą malują naiwni bohomyzy średniowiecza ubierając w otulający płaszcz. Nie odwracając się, czuła jej wzrok na sobie i wyciągnięty palec.

Trafiła tak celnie (nie jej to zasługa) że nikt z grupy się nie odezwał. Zmilczeli, zamknęła im, jak to się mówi, usta. Rozeszli się wprędce, coś tylko mrużąc, jeden szofer kiwał głową z aprobatą, poczuł się silny. Ale oni rozgniewali się bardzo i ze złożonych przyczyn. U spodu ich gniewu leżało słuszne przekonanie, że Anna zawdzięczała swój tryumf jedynie tamtej ogromnej, która stanęła przypadkowo za jej plecami. Każdy z nich potrafił by przecie to samo, zwykle byli tak samo czujni, tak samo wyteżeni, to samo ciągnęło ich i ożywiało, ale zemściła się na nich chwila przeoczenia, to co piszą w Paryżu na afiszach, kiedy żadna sztuka nie idzie: „Relâche”. (Jaki popularny utwór!)

Więc Anna znów była sama, a tamci sprzymierzili się przeciwko niej. Co prawda została jej Krystyna, porzucana przez Gubinowiczową w miarę, jak tamta pewniejsza była profesora, ale Krystyna tylko takim była sprzymierzeńcem, jak tamta ogromna, — tyle, że istniała, co prawda częściej i bliżej. Dopiero nazajutrz wieczór zdeklarował się drugi sprzymierzeniec, bo niespodzianie przyszła do Rzeczyckiej Lala, wsparła o jej ramię czoło bielsze, niż płatek lilii i zapłakała. Anna gładziła ją po włosach, nawet chyba pocałowała w skroń mokrą i słoną jak chleb.

— Pokochałam go, rozumie pani? Pokochałam go, jak tylko zobaczyłam, od pierwszego spojrzenia. Nic to, że jest sławny, że wielki. Pani nie zna mojej historii nie opowiem jej pani. Nie mam pieniędzy, boję się zimy, nie mam się w co ubrać. Moja mama miała pensję żeńską w Płocku. Co mam robić?

Anna radziła jej, żeby została na zachodzie, że tu znajdzie pracę, pole i t.d. ale te agrarne rady wypadły blado, choć były w myśl poprzedniego słuszne. Ta wielka odeszła, jej skrzydła szumiały w oddali. Ileż to razy w życiu można go słyszeć? Nie podam cyfry, nie wiem, jeszcze się nad tym namyślam.

— Pokochałam, pokochałam — skandowała coraz rozpaczliwiej Idalia — za co to na mnie? Nie wie pani? Gdzie pójdę, co zrobię? A byłam taka szczęśliwa, kiedy go wreszcie poznałam, kiedy zwrócił na mnie uwagę! Czy pani myśli, że on się nie rozwiedzie?

Więc miała jeszcze nadzieję! Wyszła późnym wieczorem, nos jej się błyszczy nawet w świetle świecy — pomyślała niemiłosiernie Rzeczycka. Jednocześnie Gubinowicz zapowiedziała ostatecznie profesorowi, że nigdy nie będzie jego (bez rzeczownika). Profesor szalał coraz gwałtowniej.

Rano zameldował się nowy sojusznik — piękna pani Doleżałowa. Tak więc powoli wszyscy przechodzili na stronę Rzeczyckiej. Pora zaatakować jej pozycje tym bardziej, że czas naglił. Najpierw pora zaatakować jej pozycje tym bardziej, że czas naglił. Najpierw więc powiedziała Annie, że znalazła wspaniały dom, który jak nic nadawał by się na siedzibę Związku, ale że „oni” nie chcą tego domu, bo to dla nich za proste, za łatwe, ot, dom z firankami i lampami, ogromny i wygodny, całkowicie zmontowany, cóż to dla nich, im trzeba ruin zamczyska. Nikomu się to nie podoba, że banalne. Oczywiście łóżko z pościelą i materacem jest bardzo banalne, nic nad to banalniejszego, każdy potrafi w nim spać. Więc ona właśnie ze wszystkich sił namawia na ten dom, który będzie zaraz do objęcia i łatwy do administrowania. A ta zwariowana Gubinowicz za którą ciągną wszyscy mężczyźni jedzie z nimi razem na koniec świata szukać czegoś innego, bo Minichowi nie spodobały się lampy, rozumie pani, nie podoba mu się, że jak w hotelu lampa stoi na każdym stoliku.

Tak, Anna rozumiała to doskonale i wiedziała, że jeżeli idzie o dom związkowy, wynalezienie go, urządzenie, wreszcie poprowadzenie — taka Doleżałowa jest warta dziesięć Gubinowiczowych. Oszczędna, zaradna, gospodarna, pracowita, rozumna, nie latawiec — tak, Doleżałowa jest jedyną osobą, która nadaje się na stanowisko zarządzającej domem związkowym. Nawet jej wady na tym miejscu staną się zaletami, będzie umiała wszystkich trzymać w tak zwanych ryzach i każdego dopilnuje. Więc znów — z rozmaitych zresztą powodów, tego poranka towarzystwo rozbiło się na nowe dwie podgrupy. Doleżałowa + Anna + Krystyna + Eufrozyna + Mierzejewski pojechali autem do Cieplic, żeby obejrzyć odkrycie Doleżałowej, a Gubinowicz + profesor + Panna Zosia + Minich wyjechali razem tramwajem w nieznaną, gdzie podobno profesor coś sobie upatrył.

Istotnie, nie mogło ulegać żadnej wątpliwości, że panna Elwira jest w Mierzejewskim zakochana. Nie trzeba się było wcale nad tym zastanawiać, to biło w oczy, podług formuły Doleżałowej. Wskazywała na to za każdym razem pozycja ich fizycznych istot nie mówiąc o innych oznakach, było to u nich tak samo widome, jak u Minicha z Zosią, którzy siadywali na ławeczce odwróceniem tyłem do reszty towarzystwa, zwiesiwszy nogi wzdłuż ściany samochodu, że to niby oni się tak poświęcają, bo to niewygodnie, a Zosia nic nie mówi do reszty towarzystwa przez skromność. Ci wyrażali swoje uczucia inną formą plastyczną: stojąc na becze z benzyną widoczni byli dla reszty jadących tylko do pół ciała. Rzeczycka, Krystyna i Doleżałowa mogły tam z dołu oglądać owłosione łydki Chimeny, słuchać łopotu jej spódnicy na wietrze i tylko po śmieszkach czy nagłych zamilknięciach odgadywać co się dzieje w wyższych rejonach. Ostatecznie zresztą — że w wyższych — nic chyba zdrożnego i to też zapewne tych dwoje manifestowało owym nie ulegającym wątpliwości a tak połowicznym odosobnieniem.

Patrząc z dołu na ich kończyny, Anna raz jeszcze myślała z zalem, że gdyby nie Atalanta, cała wycieczka byłaby wiele weselsza. Lala rozbroiła ją wprawdzie swoją szczerością i smutkiem i tym jakby rozpaczliwym trwaniem przy Mierzejewskim, który patrząc na nią spod okularów pokpiwał sobie z niej, jak inni — ale został żal tym przykrzejszy, że pozbawiony agresji. Lala tak łatwa do pokrzywdzenia była zbyt żalonna, żeby się nad nią pastwić teraz, kiedy podróż zbliżała się ku końcowi, a Mierzejewski ciągle się martwił, że tak późno będzie w domu, kiedy w poniedziałek są imieniny córki. Wtedy oczy Lali napętniały się łzami w których lazurowa tęczęwka pływała, jak kwiat.

A on bez żadnego opamiętania bił w nią, całkowicie teraz odstoniętą, uniedołączoną tym niespodzianym i późnym uczuciem, obudzoną i nareszcie pełną kobiecości i oddaniem tak bezgranicznym, że aż żenującym. Wołał na nią jak na psa, czy na kota, przelotnie gładził po grzbiecie, śmiał się, odrzucając jasne włosy długimi, nerwowymi palcami.

Wycieczka kończyła się, jutro się rozjadą. Rzeczycka myślała o scenie, nowym sezonie i o szkole Krystyny, Doleżałowa o synu, Mierzejewski o córce, Lala o rozpaczliwej samotności i rozstaniu i tak jechali, a wiatr furkotał w ich połach i brezencie budy.

Przyjechali przed dom, był piękny, wielki, kwadratowy z ogromnymi oknami i oszklonymi werandami, jak hotel. Widzieli już kolegów, kroczących po chodnikach w kwiaty, żalowali siebie, że może ulegną tamtym, którzy znaleźli jakieś świństwo.

Potem weszli do środka, czymś się zamówili i ciekli jedno za drugim jak kuropatwy. Gospodarz, olśniony urodą i elegancją aktorek rozszczebiotał się, ani zgadując, co mu grozi. Otwierał przed nimi przezrocyste jasne pokoje, ukazywał wielkie okna z naklejonymi daliami i pagody świerków w ogrodzie. Trudno opisać tę nowoczesność, ład i porządek, bo tu by trzeba szeregować słowa jak ściany i rozcinać jak korytarze.

— Prawdziwy hotel — powiedziała z uznaniem Elwira — takie prawdziwe, nowoczesne homo.

— Więc proszę pani — dobijała pospiesznie Doleżałowa — upieramy się i robimy wspólny front. Muszą się z panią liczyć, przecież pani jest w zarządzie, niech się pani postawi i nie ustąpi. Niczego lepszego nie znajdziemy, prawda? Bo niczego lepszego nie ma.

Tak, Rzeczycka miała zamiar się uprzyć, ostatecznie będą musieli ustąpić, bo gotowa postawić kwestię gdzieżby? Na ostrzu noża. Związek będzie miał wielki piękny dom wypoczynkowy, gdzie wszyscy będą się dobrze czuli.

Spotkali się na obiedzie w stołówce, tamci oczywiście spóźnili się o pół godziny, Doleżałowa już wstawała, potem usiadła znowu.

— No i coście znaleźli? — spytała agresywnie.

— Cudo, cudo — śpiewała rozentuzjasmowana Gubinowicz — zobaczycie, cudo! A wy?

— Już widzę to cudo — na to Anna — pewno rudera. A nasz pałac!

— Za to nasz zamek — na to Minich — i ja nie zgodzę się na nic innego.

Był bardzo nieprzyjemny. Żeby nic więcej nie powiedział jużby wszystkich na siebie oburzył. Był zmęczony i zły, że wóz trząsał i co powie Ircia. Zosia trwożnie milczała.

Poszli spać we wrogim nastroju. Na drugi dzień mieli się ostatecznie zdecydować, obejrzeć wspólnie „zamek”, załatwić formalności w starostwie i wracać. Ostatecznie też miał się rozstrzygnąć mecz Gubinowicz — Doleżałowa. W ponurym milczeniu ładowali się rankiem na wóz. W drodze rozmawiali mało. Potem przyjechali.

I oto wznosił się nad nimi zamek. Był wspaniały. Był godny Związku. W parku wznosiła się wysoka skała, chwiały się świerki i wysokie jesienne klony. Pośrodku był wielki maszyw rododendronów i paprocie. Z wieży wzrok ogarniał Sudety.

Minich i profesor patrzyli na Annę, co powie. Liczyli się z nią, obawiali się jej sprzeciwu na zarządzie. Dom im się wydał mały, niegodny Związku, skała uboga, rododendrony nie kwitły, szła jesień. A tam byłoby dobrze emerytom, nisko, Anna powiedziała entuzjastycznie.

— Jak tu pięknie! Jaka jestem szczęśliwa!

Było pięknie, byli oszałamiająco szczęśliwi, byli młodzi.

— Patrzcie, pocisk odłupał kawał muru — powiedziała z trudem Zosia. Musiała się odezwać — dla Związku.

Połączyli się we wspólnym wysiłku, do południa nosili cegłę, chcieli to zaraz załatwić, założyli wyrwę na glinę, bo nie było wapna. Mężczyźni murowali, kobiety rozrabiały glinę, potem się zmienili. Skończyli koło czwartej, nie chcieli odjeżdżać, łóżek nie było, nocowali na sianie, sprząтали pokoje, rozdzielali gdzie się pomieszczą wdowy z dziećmi, a gdzie starcy.

— Gdyby pani mogła zostać, gdyby mi pani mogła pomóc! — błagała Gubinowicz — tu tyle pracy! Albo wie pani co, ja już dawno o tym myślałam, że chyba nie podołam. Niech pani to obejmie, a ja będę pani pomagać.

— Nie, nie, pojedę. Widzi pani, syn mnie czeka. Zostanę parę dni, żeby załatwić formalności, zanim pan profesor zwiezie meble. Pani jest młoda, pani da sobie ze wszystkim radę.

Związek miał więc dom, trzeba tylko było, żeby starosta zatwierdził własność. Wymalowali na czerwonej tablicy białą farbą: Dom Związku Scen Małych, ustawili tablicę koło klombu. Przechylali głowę na lewe ramię, na prawe ramię, ładnie było. Wrócili do auta, odjeżdżali, w hotelu załadowali rzeczy i byłiby już dalej, gdy wóz się zepsuł. Szofer powiedział, że naprawa potrwa kilka dni. Mierzejewski rozpoczął: imieniny córki!

— Halo, halo, — ktoś krzyknął. I oto byli przyjaciele Anny, dwaj muzycy z orkiestry państwowej, którzy odwozili do Jeleniej Góry Bechsteina z Wrocławia.

— Możecie jechać z nami, jest pięć miejsc.

Eufrozyna wracała do mamy do Katowic. Gubinowiczowa i Doleżałowa zostawały dla urzędzenia domu. Krystyna po kole skoczyła do środka. Siadali. Mierzejewski czekał zaproszenia. Rzeczycka powiedziała.

— Jedziemy.

Stał na drodze, patrząc za odjeżdżającymi.

STANISŁAW ŁEMPICKI

KSIĄŻKI I LUDZIE

WSPOMNIENA Z MINIONYCH LAT

(ciąg dalszy)

Czyż w Ossolineum byli jednak sami tylko starzy i starsi ludzie, z wybitną przewagą osób, których urodzenie i młodość przypadły jeszcze na pierwszą połowę XIX w. lub nieco później?

Przede wszystkim młodym, mimo przekroczonej już czterdziestki, był sam kurator Zakładu Narodowego, Andrzej Lubomirski. Kuratorem był już „starym”, bo objął to stanowisko — po dziadzie Henryku i ojcu Jerzym — jeszcze w 1882 r., jako dwudziestoletni młodzieniec. Ale w początkach naszego stulecia znajdował się właśnie w najdzielniejszym rozpędzie swojej twórczej inicjatywy. Głos jego rozlegał się przy najważniejszych debatach w Sejmie galicyjskim i wiedeńskim parlamencie, potem w Izbie Panów; czynny był w pracach Koła Polskiego w Wiedniu. Niezmiernie w ciągu całego życia ruchliwy, wówczas w wiecznych rozjazdach pomiędzy krajem a stolicą monarchii, a często i za granicą — można było powiedzieć stały mieszkaniec pociągów kolejowych — umiał się dziwnie uwielokrotnić i jakby być obecnym równocześnie na kilku miejscach. Gdziekolwiek atoli chwilowo bawił, serce jego było ustawicznie w kraju; co więcej było tutaj blisko nas, we Lwowie i w Ossolineum, którego dzieje i losy związał jeszcze sam niezapomniany Fundator wstęgą moralnego obowiązku z rodziną Lubomirskich.

Andrzej Lubomirski pracował wtedy przede wszystkim nad swoją ukochaną ideą uprzemysłowienia Galicji, uniezależnienia jej pod tym względem od środowisk obcych. Rozrastał się właśnie i rozbudowywał nie tylko jego ordynacki Przeworsk, centrala i macierz małopolskiego przemysłu cukrowniczego; płodna, pełna młodzieńczej energii inicjatywa księcia Andrzeja rozgrzewała i prowadziła także innych, poddawał pomysły i projekty, powoływał do życia nowe instytucje i spółki akcyjne, komórki ruchu przemysłowego w mnogich jego gałęziach. Jedne śmiało przedsięwzięcia udawały się znakomicie, inne nie. Warunki nie były łatwe, a polskiej pracy pionierskiej umiano kłaść klody pod nogi. Lecz twórcza, organizująca myśl Andrzeja Lubomirskiego nigdy nie spoczywała, jak niestrudzenie wartkie wrzeczono. O sławę nie dbał, nie zadowalał swych osobistych ambicij; nie zrobił na przemyśle krociowej fortuny, przeciwnie, poświęcił wiele z tego, czego mógł bez troski i egoistycznie używać, naśladowując większość ludzi swojej sfery.

Dla Ossolineum, które kochał zawsze jak dobry, troskliwy syn, zdziałał Lubomirski wtedy, w początkach naszego wieku, bardzo wiele. Miał-że uprzemysławiać inne, dalsze jego sercu placówki, nie wciągając w swoje plany wielkiego narodowego Instytutu, o którego nieprzemijającym znaczeniu od młodości głęboko był przekonany? Znał zresztą fundamentalne przykazania Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, który żądał wyraźnie uczynienia z Biblioteki twórczego, nieustannie czynnego warsztatu pracy oświatowej i naukowo-piśmienniczej. Andrzej Lubomirski rzucił podwaliny pod uprzemysłowienie Zakładu Narodowego. Dzięki jego zabiegom wzięto imponujący rozpęd „Wydawnictwo Książek Szkolnych” dla galicyjskich szkół ludowych, które jeszcze w 1878 r. kurator Kazimierz Krasicki — dzięki swoim staraniom u rządu austriackiego — pozyskał był dla Ossolineum. Stał przez 40 lat sędzi polski elementarz i polski podręcznik dla dziecka do szkół ludowych i pod strzechy. Teraz rozbudowano drukarnię, uposażono ją w liczne maszyny, tworząc z niej największą oficynę typograficzną Lwowa. Do drukarni-matki przyłączyły się z czasem dwie nowe, zakupione przez Zakład. Powstała własna wielka introligatornia. Rozrosły się nieruchomości Ossolineum, przez nabycie ogromnej kamienicy Sapiehów naprzeciw Biblioteki (Ossolińskich 11) i dawnego gmachu Seminarium nauczycielskiego męskiego przy ul. Kaleczej.

To był kurator działacz. Gdzież jest jednak kurator — marzytel? I ten był już wtedy. Wszakże okazały, świątynny gmach Ossolineum stanie się niebawem niewystarczający. Zaczną się mnożyć zbiory, zapasy, nabytki. Myśl księcia Andrzeja szybowała niepowstrzymanie naprzód. Pragnął wydobyć Ossolineum z wilgotnego, zadrzewionego otoczenia u stóp Góry Wronowskich (Cytadeli), ze starego poklasztornego budynku, usadowić je na szczycie tej góry, panującej w mieście nad miastem. Marzył, że przyjdą takie czasy, iż — po zniesieniu starych fortyfikacyj — będzie można wykupić Cytadelę od władz wojskowych, przemienić całe to wzgórze w jeden wielki, jasny i słoneczny park, z ogromnymi skwerami i gazonami, z wygodnym dostępem od strony miasta, i tu zbudować wspinały gmach dla Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, gmach monumentalny a nowoczesny.

Nie należał Andrzej Lubomirski nigdy do arystokratów tych, co związani z jakąś instytucją kulturalną o społecznym znaczeniu, uważają ją z czasem za swój folwark, czy swoją osobistą domenę. W stosunku jego do Ossolineum i zasłużonych tegoż pracowników nie było nigdy nic z tradycyjnego, nadętego mecenasostwa. Uważał się za pierwszego sługę wielkiej narodowej Instytucji. W gronie Ossolińczyków był zawsze tylko primus inter pares i to tylko z urzędu, z ustanowienia Fundatora. Bo w codziennym zetknięciu się z urzędnikami Ossolineum odznaczał się prostotą i skromnością, słuchał z uwagą doświadczonych rad, a Antoniego Małeckiego, swego zastępcę, otaczał czcią niewykłą, dając mu zawsze przed sobą pierwszeństwo.

Był wreszcie Andrzej Lubomirski tym, który swoim osobistym przykładem, słowem i propagandą, wpoił w społeczeństwo polskie naszego stulecia kult dla Ossolineum, stworzył popularną ideologię tego kultu i rozpowszechniał ją na każdym kroku.

Kurator bywał w Zakładzie często, zwłaszcza gdy na jesień i zimę osiadał we Lwowie. Przychodził na konferencje do dyrektora Kętrzyńskiego. Stykaliśmy się z nim po raz pierwszy bliżej przy składaniu tzw. „przysięgi”, raczej przyrzeczenia służbowego, odbieranego od nowych stypendystów. Przyrzeczenie to, przed czterdziestu laty, wyglądało jeszcze bardzo osobliwie. Było mieszaniną manifestacji patriotyzmu polskiego z lojalnością austriacką. Ot, taka miksturka, uwarzona za czasów kuratorii Maurycego Dzieduszyckiego, albo i jeszcze wcześniej, dostosowana do wymagań rządu i mentalności wielu „pierwszych Galicjan”. Przyrzekało się tedy uroczystość dla cesarza i monarchii, nienależenie do żadnych organizacji i tajnych spisków, a równocześnie pracę dla dobra i szczęścia własnego społeczeństwa, dla nauki i kultury polskiej, dla dobra Zakładu. Wydawało się to wtedy czymś naturalnym, do czego się z dawna przywykło; a czy tam młodzieniec robił sobie podczas tego aktu jakąś *restrictio mentalis*, nikt o to nie pytał. „Przysięga” kończyła się uroczystym podaniem stypendyście ręki przez Kuratora i Dyrektora. Kurator poznawał wtedy nowego współpracownika, chciał i umiał powiedzieć mu kilka ciepłych słów, i odtąd pamiętał już dobrze nazwisko i człowieka.

d.c.n.



LITERATURA SZTUKA I NAUKA W ANGLII

KSIĄŻKA W ANGLII

KSIĄŻKA PRZEPLYWA PRZEZ PÓLKI KSIĘGARSKIE

OSTATNIM miejscem, w którym zobaczyć można co się znajduje na półkach księgarskich, jest obecnie w Anglii — księgarnia. Wprawdzie w księgarni angielskiej nie ma lady ani kontuaru, wprawdzie chodzi się pomiędzy stołami i otwartymi półkami i w książkach przebierać można do woli, są to jednak albo resztki z przedwczoraj, albo „nowości” które czytać się będzie jutro. Tych, które czyta się dzisiaj, już nie ma, już znikły — wyczerpane. Książka bowiem nie: „znajduje się” na półkach księgarskich, a „przepląwa” przez nie. Trzebaby więc zamieszkać w księgarni i dzień po dniu śledzić uważnie jak coraz to nowe tytuły zjawiają się na dzień czy dwa, by zaraz ustąpić miejsca nowym.

15 NOWYCH KSIĄŻEK DZIENNIE

W CIĄGU 3 miesięcy, od 13 grudnia 45 do 12 marca 46, wyszło w Anglii 1340 książek („tytułów”), pierwszych i nowych wydań, nie licząc rozpowszechnionych w Anglii t. zw. „dodruków” (new impressions).

Ktoś kto chciałby je wszystkie kupić — wydać by musiał 600 funtów.

Ktoś kto chciałby je wszystkie przeczytać — miałby przed sobą 243.000 stron druku.

15 nowych książek dzień w dzień, i — głód książki.

Dlaczego?

Wojna → { brak papieru
brak rąk roboczych } → zmniejszone nakłady

Wojna → { potrzeba refleksji
bezsenne noce w czasie
bombardowań uczą ludzi
brać książkę do ręki
zainteresowanie sprawami
świata } → zwiększony głód
lektury

Szkoła → oświata powszechna → { zwiększona liczba ludzi
umiejących czytać

WIĘC zmniejszone nakłady wtedy kiedy czytelników więcej i kiedy większa potrzeba książki.

Jakiej książki?

ILOŚĆ I JAKOŚĆ

G. M. TREVELYAN pisze w swojej „Socjalnej Historii Anglii”:

„Nasz nowoczesny system nauczania powszechnego istotnie był nieodzowny i przyniósł krajowi wielkie korzyści, pod pewnymi jednak ważnymi względami jest on jednak niezadawalający. Mówiąc z grubsza, wytworzył on wielką ilość ludzi umiejących czytać lecz nie umiejących rozróżnić co jest czytania warte — łatwy łup dla sensacyj

i tanich chwytów. Tak więc i literatury i dziennikarstwa poziom dużym stopiu obniżył się po roku 1870, ponieważ nowym ich zadaniem było dostarczanie słowa drukowanego milionom ludzi 1/2 i 1/4 wykształconych, których przodkowie, nie umiejący w ogóle czytać, nie byli mecenasami gazety ani książki. Nieliczna klasa ludzi bardziej wykształconych nie ustanawia już poziomu w takim stopniu w jakim to czyniła i skłania się raczej do przyjęcia miar narzuconych przez większość. Dopiero w przyszłości zobaczymy czy w wieku XX lub XXI niższe formy literatury i dziennikarstwa pożąra całkowicie wyższe. Jeśli do tego nie dojdzie to tylko dzięki udoskonaleniu średniego i wyższego nauczania, i dzięki utworzeniu w ten sposób dostatecznie licznej klasy tych, którzy żądaliby rzeczy wartych czytania."

Słusznie sądzi Trevelyan, Master of Trinity, że udostępnienie szerokim masom szkoły wyższego stopnia polepszy jakość piśmiennictwa. Już i dzisiaj jednak nie jest tak źle w Anglii z tą „jakością”. Świadczyć o tym może na przykład to, że właśnie książka Trevelyana („Socjalna Historia Anglii, Przegląd Sześciu Wieków: Od Chaucer’a do Królowej Wiktorii”), 200,000 słów, 21 szylingów, w czasie wojny, w 1944 roku, rozchwyтана została szybciej niż najlepsza powieść detektywna, i choć miała jeszcze dalsze nakłady — jest dziś wyczerpana zupełnie. To samo dotyczy innych książek „wartych czytania”. Wydawcy twierdzą że właśnie rzeczy „poważne” są dziś najbardziej poszukiwane.

SYTUACJA MATERIALNA PISARZA W ANGLII

MŁODY ZDEMABILIZOWANY PISARZ wraca z wojska i sięga znowu po pióro. Co go czeka? Jakie ma szanse? — pyta Ronald Lewin w londyńskim tygodniku „Tribune”. Na korzyść pisarza przemawia fakt, że publiczność, potencjalny patron jego, rozrosła się ogromnie i jest dziś 4 razy liczniejsza niż była przed wojną. Pismo księgarskie „The Bookseller” pisze, że przeciętny nabywca książek należy do grupy ludzi, których dochód tygodniowy wynosi nie mniej niż 7 i nie więcej niż 20 funtów tygodniowo. Ze statystyk zaś wynika że właśnie liczba tych, których dochód tygodniowy wynosi od 5 do 10 funtów, wzrosła pomiędzy rokiem 38/9 i 44/5 z 1,820,000 do 5,050,000, podczas gdy liczba tych o dochodzie tygodniowym 10 do 20 funtów — podwoiła się. Publiczność, patron pisarza, ma „gotówkę” — wywodzi Ronald Lewin — „a spodziewać się należy że ogólny wzrost kultury, spowodowany nową Ustawą Edukacyjną da mu także patrona który będzie miał nie tylko gotówkę ale i potrzebę kupowania książek. Każdy księgarz przyświadczy, że publiczność rzeczywiście kupuje już dziś więcej niż kiedykolwiek”. A jednak — jeden z pisarzy o ustalonej pozycji, w liście do pisma „The Author” oświadcza, że piętnaście powieści jakie opublikował przyniosło mu przeciętnie około 235 funtów rocznie. Znany wydawca londyński Walter Harrap twierdzi, że przed wojną przeciętna liczba sprzedanych egzemplarzy powieści wynosiła 1200 egzemplarzy. To znaczy 75 do 100 funtów dla autora. I na to „młody, zdemobilizowany pisarz” mówi: „to prawda, że z innych źródeł, — z radia, z filmu, z reklamy, z dziennikarstwa — mogę, jeżeli się wysiłę, wykrobać dosyć żeby dać jako tako przyzwoite życie mojej żonie i mojej rodzinie w tym Londynie w którym nasze trzypokojowe mieszkanie kosztuje nas przeszło 150 funtów rocznie, ... ale czego chcę to tego, żebyśmy jako prawdziwy pisarz, nie jako skryba, czy dziennikarz, czy fabrykant scenariuszów, mógł zarobić tyle żebyśmy mogli żyć trochę mniej wygodnie od szeregowca amerykańskiej armii”.

„W różnych okresach angielskiego życia literackiego” — pisze Ronald Lewin — „istniał mecenas gotów do wyciągnięcia portmonetki, jeżeli autor skłonny był produkować dobra odpowiednie dla podniebienia mecenasa: koła dworskie elżbietańskie i Stuartów, szlachta osiemnastowieczna, szersza publiczność wiktoriańska z jej moralnymi przesądami. I nie tylko w naszych czasach poważny pisarz porywa się na produkowanie utworów obcych smakowi jego mecenasa, którego nazywa Y a h o o za to, że mu one nie smakują. Wielu pisarzy przeszłości musiało bardzo zręcznie i chytrze manewrować, żeby utrzymać się w granicach, wyznaczonych przez współczesnego im płatnika. Jeżeli oni, idąc za swym powołaniem, nie umieli czasem uczynić swych prac łatwostrawnymi i głodowali, to może i dzisiejszy pisarz nie powinien oczekiwać innego losu. A jednak tak nie jest. Dzisiejszy pisarz, dając według swych możliwości, oczekuje że będzie dostawał według swych potrzeb. I nie godzi się na to żeby tylko rzeczy o bardzo szerokim zasięgu i te o zmniejszonej jakości mogły dawać mu coś więcej niż głodową stopę życiową.”

„Jedyną radą byłaby tu pewna forma pomocy państwowej, która zapewniłaby pisarzom środki do życia, nie obrabowując ich z ich spontaniczności, i nie zamieniając ich w narzędzia propagandy politycznej. Ta teza wywołuje swe własne antytezy. Co jest pewne jednak to to, że w świecie który zmierza ku Socjalizmowi problem pisarza musi być przedyskutowany i wyjaśniony.”

SYTUACJA MATERIALNA POETY W ANGLII

CZY OPLACA SIĘ BYĆ POETĄ? — pyta w „Evening Standard” p. Henry Adler. „Evening Standard” jest gazetą w rodzaju przedwojennego „Dobrego Wieczoru” czy „Paris Soir’u” i już to samo, że pismo tego typu daje swym czytelnikom artykuł o sytuacji materialnej poety w Anglii świadczy o tym jak wzrosło zainteresowanie sprawami literatury.

„Wybacz mi że żyję
Ale jestem poetą rzeczy prostych
Lekarzem
Używającym idei zamiast gazy
Adwokatem
Broniącym ludzi przeciw rzeczom...”

— pisze w swym tomie wierszy „Zamiast Sonetu” Paul Potts, młody poeta, który parę lat temu wyszedł na ulicę Londynu i zaczął sprzedawać swe wiersze przechodniom, za pensa. „Ale my nie wybaczymy poecie że żyje. Poezja nuży nas i zakłóca nasze zadowolenie z siebie... Wolimy ludzi którzy podnoszą nasze samopoczucie i pomagają nam zapomnieć o naszych brakach...” — mówi H.A. i zadaje pytanie: — „Czy poeci warci są tego że żyją? Czy poeci mają jakieś ekonomiczne uzasadnienie?”. „Nie”, odpowiada, „nie mają żadnego. Możemy się obejść bez poezji o wiele łatwiej niż bez jaj czy bez papierosów. Wolno nam zagłodzić się duchowo. I skutków tego głodu duchowego nie odczujemy tak mocno jak odczuwany skutki głodu fizycznego. Wszystko co się stanie to to, że będziemy nudni, głupi, i tępi. A to nie powinno nas niepokoić... Dlaczego więc poeci piszą wiersze? I dlaczego wydawcy je drukują? Poeci piszą ponieważ chcą, ponieważ nie byliby szczęśliwi gdyby robili co innego. Cierpią na mus wyrażania swych myśli i uczuć

słowami." A wydawcy? P. Michael Swann z wydawnictwa „Nicholson & Watson” podaje, że koszt wyprodukowania tomu wierszy w nakładzie tysiąca egzemplarzy wynosi około 150 funtów (sam papier kosztuje 50 funtów, przed wojną kosztował 12). Cena egzemplarza wynosi od 4 do 6 szylingów. Autor dostaje 10%. Na ogół nie wydaje się tomu wierszy częściej niż raz na dwa lata. Za dwa lata więc pracy w najtrudniejszej formie literackiej, poeta dostaje 25 do 30 funtów, jeżeli wszystkie egzemplarze zostaną sprzedane. Znany angielski poeta T. S. Eliot, który jest dyrektorem wydawnictwa Faber & Faber, ma pewien dochód z nowych wydań swych wierszy. Jego „Wiersze Zebrane” wychodzą rok rocznie w trzech tysiącach egzemplarzy które przynoszą mu „olbrzymią” sumę 125 funtów. „Jedyną nadzieją uznanego poety” pisze H. A. „jest to, że to jego uznanie nastęrczyć mu może inne prace, w radio, w filmie, w reklamie, w dziennikarstwie. Dwaj poeci, George Barker i William Empson otrzymali od British Council profesury w Japonii. Jest bardzo prawdopodobne, że młodzi poeci tacy jak George Gascoyne i Roy Campbell zostaną subsydiowani przez swoich wydawców, jeżeli zechcą żyć za granicą i tam pracować”. Ale jeżeli poezja się wydawcom nie opłaca wcale, albo bardzo mało, dlaczego w ogóle sobie nią głowę zaprzatają? Na to H. A. odpowiada: „Ponieważ poezja dodaje prestiżu księgarskiemu katalogowi wydawcy. I to jest rzeczą bardzo ciekawą: Poezja nie opłaca się, ale jest szanowana. Ta połowa świata która robi pieniądze w sposób niezwiązany ze sztuką, szanuje wybredzonego artystę. Bogactwo czuje pewien kompleks niższości wtedy kiedy w grę wchodzi kultura.”

SZTUKA I ARTYŚCI W ANGLII *

MŁODE POKOLENIE WIDZI STARYCH I NOWYCH MISTRZÓW PO RAZ PIERWSZY W ORYGINALE

IŁOŚĆ WYDARZEŃ ARTYSTYCZNYCH, ich jakość i szybkość z jaką następowały po sobie w ciągu paru ostatnich miesięcy, w Londynie, jest zadziwiająca. I niezwykle głęboki musi być ich wpływ na pokolenie tych, którzy w r. 39, kiedy wojna wybuchła, mieli po lat kilkanaście i prawdopodobnie nigdy przedtem nie widzieli w oryginale ani starych mistrzów ani nowych.

Zbiory muzeów narodowych były ewakuowane dla bezpieczeństwa, wpływy z kontynentu znikły, o „Szkole Paryskiej” słuchy dochodziły tylko, wytworzyła się pustka. I teraz nagle w pustkę wdarła się szeroka fala wydarzeń artystycznych, umożliwiających nam obejrzenie najlepszych osiągnięć tradycyjnej i nowoczesnej sztuki. Zbiory powracają do muzeów i galerii, możemy oglądać już nie reprodukcje w książce, ale prawdziwe obrazy malowane na płótnie; cóż za przeżycie dla młodych, którzy je widzą po raz pierwszy, cóż za ulga dla starszych, którzy tęsknili za swoimi starymi przyjaciółmi, i cóż za sposobność dla świeżego spojrzenia i przewartościowania swych sądów!

*Na prośbę redakcji p. MORRIS KESTELMAN, b. prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów — A.I.A., nakreślił poniższy przegląd wydarzeń w dziedzinie sztuki w Anglii.



Z wystawy Matisse'a w Londynie :
 ..MARGUERITES"



Z wystawy Picassa w Londynie :
 ..KOBIETA W RYBIM KAPELUSZU"

GALERIE I MUZEA

ZACZEŁO SIĘ TO OD NATIONAL GALLERY I WALLACE COLLECTION z ich włoskimi, holenderskimi, hiszpańskimi i francuskimi mistrzami. Ledwo jednak publiczność zdążyła tę pierwszą dawkę zaabsorbować kiedy Londyn został wstrząśniony wyrzuconą z Paryża niezwykłą bombą, która pod postacią wystawy PICASSO — MATISSE wylądowała w Victoria and Albert Museum. Obrazy Picassa, malowane w czasie okupacji, wywołały ogromne poruszenie. Dzikie i gwałtowne rozszalały się dyskusje. Prasa była zalana rozwścieczonymi wołaniami o pomstę, ale także i artykułami bardzo rozsądnymi i rzeczowymi. Utworzyła się Liga Dla Ochrony Świętości w Sztuce, i wszystkie stare dostojne tępaki wystąpiły odważnie naprzód w swych zardzewiałych zbrojach. A tymczasem publiczność rozpychała sale wystawowe (w ciągu tylko pierwszych dwóch tygodni było zwiedzających 60,000), które były tak natłoczone jak stacja kolejowa w Bank Holiday. Po Londynie, wystawa objechała szereg większych miast prowincjonalnych, gdzie wszystko odbyło się może na mniejszą skalę, ale w tej samej temperaturze.

Echa tej wystawy wciąż jeszcze brzmiały w uszach, kiedy nastąpiła nowa eksplozja, tym razem na Trafalgar Square: wielka, retrospektywna wystawa prac PAUL'a KLEE. Mieściła się w świętych przybytkach National Gallery i zorganizowana została pod patronatem oficjalnej National Gallery of British Art.

Wkrótce potem, w tym samym miejscu, inna instytucja oficjalna — The Arts of Gt. Britain, urządziła wystawę belgijskiego malarza ENSOR'a. Odczyty i dyskusje, jakie odbywały się w międzyczasie w radio, podniecały stale zainteresowanie publiczności.

Z innych wystaw jakie przybyły tu z kontynentu wymienić należy wystawę SZTUKI HOLENDERSKIEJ Z CZASU „RESISTENCE”, urządzoną przez British Council.

Z Z.S.S.R. przybyła SOWIECKA WYSTAWA TEATRALNA, rysunki i modele.

A potem jeszcze jedno nowe wydarzenie o specjalnym charakterze: WYSTAWA SZTUKI GRECKIEJ obejmująca okres od 3000 przed Chr. do 1945 A.D., włącznie z El Greco i nowoczesnymi malarzami greckimi. Najbardziej podniecające rzeczy znaleźć można było wśród eksponatów obejmujących rzeźbę, malarstwo, ceramikę i rzemiosła, i olbrzymie tłumy wypełniały i tę wystawę, przez cały czas jej trwania.

Otwarcie TATE GALLERY, która była zamknięta przez cały czas wojny, stało się wielkim wydarzeniem oficjalnym. Minister Spraw Zagranicznych p. Bevin wygłosił przemówienie w którym mówił o ważności sztuki. Co sądził o obrazach BRAQUE'a i ROUAULT — nie potrafię powiedzieć. Tate Gallery poświęciła im jedną wielką salę, i był to doskonały przegląd ich prac. W tym samym czasie oglądać można było bardzo godną uwagi kolekcję akwarel CEZANNE'a, zebranych razem przez Arts Council (Radę Sztuki).

PAŃSTWO OPIEKUNEM SZTUKI NOWOCZESNEJ

JAK NA NARÓD nazywany przez niektórych „narodem sklepiarkarzy” — osiągnięcia te nie wydają się małe. A zaznaczyć należy że wszystkie te wystawy, które spowodowały tyle gorących kontrowersyj, urządzone były i finansowane przez czynniki oficjalne — British Council i Arts Council of Gt. Britain. Obie te Rady wykonały jak najpożyteczniejszą pracę, umożliwiając bardzo szerokim masom zapoznanie się



Braque : ..RÓŻOWY OBRUS“

z dziełami sztuki sprowadzonymi z kontynentu, i ułatwiając możliwość zapoznania się z twórczością żyjących artystów brytyjskich. Na ogół spoglądamy z podejrzliwością (i słusznie) na wszelkie instytucje oficjalne odgrywające rolę mecenasa sztuki. Z tym większą przyjemnością możemy w tym wypadku podkreślić tak wszechstronny i światły wpływ państwa na sprawy związane ze sztuką.

WYSTAWY BIEŻĄCE, ARTYŚCI WOJENNI

JĘŚLI chodzi o współczesnych artystów brytyjskich — i tu dużą daję się zauważyć aktywność. Poza normalnymi wystawami bieżącymi odbył się także wielki przegląd prac Artystów Wojennych, prac wykonanych na zlecenie i zamówienie rządowe.

BROWARY I OBRAZY

NOWOŚCIĄ w rozwoju mecenasostwa jest inicjatywa Browarów Londyńskich które zamówiły u artystów obrazy o tematach związanych ze scenerią ulicy londyńskiej. Zbiór wszystkich tych prac, pod nazwą „LONDONER'S ENGLAND”, podzielony jest na grupy po 30 — 36 obrazów, i każda z nich wystawiana jest na przeciąg wielu tygodni w „Licensed Houses” (w barach), na zmianę jedna po drugiej. W ten sposób dobre malarstwo znajduje swą drogę do najszerszej publiczności, w sposób bezpośredni i... popularny.

BUDOWNICTWO I ARTYŚCI

KOMITET artystów i rzemieślników jest w trakcie opracowywania projektu, który by rządowi, samorządom oraz placówkom handlowym i przemysłowym mógł służyć za przewodnika w



Postaci z obrazów Picassa na wystawie sztuki tradycyjnej: „Ani trochę nie podobne do natury, moja droga!” — James Fitton, „OUR TIME”

sprawach związanych z zagadnieniami jak wykorzystać sztuki piękne i rzemiosło artystyczne. Jak wykorzystać, na przykład, rzeźbę i wyroby z żelaza i drzewa przy budowie magistratów, czytelni, muzeów, szkół, szpitali itp., w urządzeniu wnętrz biurowych, fabrycznych i stołówek. Duży nacisk kładzie się na wykorzystanie rzeźby. W związku z tym, że rozpoczyna się teraz wielka praca nad odbudową Brytanii, artyści mają jedyną okazję przeprowadzenia swych żądań, które, prawdopodobnie, przybiorą formę taką, że pewien procent dodawany będzie do kosztorysów budowy wszystkich budynków publicznych, i przeznaczany na zleczone prace artystyczne.

Największą inicjatywę w tych sprawach wykazuje CENTRAL INSTITUTE OF ART & DESIGN w którego skład wchodzi około 40 zrzeszeń artystycznych.

„CZYM KUNST DLA RZEMIOSŁA TYM PROJEKT DLA PRODUKCJI MASZYNOWEJ”

TAK jak z jednej strony widzimy tendencje zmierzające do odrodzenia rzemiosła artystycznego, tak znów z drugiej strony usiłuje się podnieść poziom „rysunku” wyrobów przemysłowych. Specjalnie w tym celu powołaną została przez rząd Centralna Rada Projektowania Wyrobów Przemysłowych (CENTRAL COUNCIL OF INDUSTRIAL DESIGN). Rolę jaką odgrywa „projektowanie przemysłowe” (rysunki, modele itp.) zdefiniował najlepiej prezes Izby Handlowej, który w jednym ze swych przemówień rzekł: „Czym ‚kunszt’ był i jest dla rzemiosła, tym ‚projekt’ (rysunek) jest dla produktu maszynowego”.

WYSTAWY OBJAZDOWE

WRACAJĄC do spraw bardziej ogólnych wymienić należy czynniki wychowawcze, których praca już teraz na pewno dała wielkie wyniki jeśli chodzi o poprawienie gustu publiczności. THE ARTS COUNCIL OF GREAT BRITAIN (instytucja związana z Ministerstwem Oświaty) urządza stale wystawy objazdowe po całym kraju i dociera do takich miejscowości, w których nigdy nic podobnego nie można było zobaczyć. Z wystawami jeżdżą wykładowcy i przewodnicy. Wystawy te składają się z obrazów współczesnych (wynajmowanych, za opłatą, od artystów) oraz z kolekcji tak różnorodnych jak np.: Drzeworyt Chiński, Malarstwo Hiszpańskie, czy James Ensor.

RADIO I PUBLIKACJE

RADIO nadaje systematycznie i często dobre i rzeczowe prelekcje o sztukach plastycznych.

Coraz więcej jest publikacji, reprodukujących obrazy stare i nowoczesne, po cenach niekiedy bardzo niskich, i zastanawiające jest powodzenie jakim się wydawnictwa tego typu cieszą.

SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH

SZKOŁY Sztuk Pięknych przepełnione są studentami, wracającymi z wojska. Rząd przyznaje im stypendia.

SZTUKA MUSI STAĆ SIĘ CZĘŚCIĄ ŻYCIA ANGIELSKIEGO

JUŻ z tego pobieżnego przeglądu widać, że bardzo intensywna jest tu działalność w sprawach sztuki, że nie ma ciasnego na nie spojrzenia, że podchodzi się do nich z różnych stron; od strony

wyobraźni, pokazując najlepsze prace innych krajów; od strony estetyki, poprawiając „rysunek” przedmiotów życia codziennego; i od strony wychowania. Oczekiwać można więc, że dzięki tej różnorodności akcji sztuka zaabsorbowana zostanie przez bardzo szerokie kręgi publiczności, i wrośnie jako element aktywny w całość życia angielskiego.

TEATR W LONDYNIE

OD MELODRAMATU DO SZEKSPIRA

ANGIELSKI TEATR NARODOWY

KOMPANIA OLD VIC, która z końcem kwietnia wyjechała do New Yorku, spotkała się tam z wykupioną na cały sześciotygodniowy okres pobytu salą Century Theatre i (poza kilkoma złośliwymi uwagami w gazecie antybrytyjskiego koncernu Hearst'a) z entuzjastyczną krytyką. Nazwano ją English National Theatre.

To ostatnie jest bodajże najbardziej charakterystyczne. Istotnie Old Vic nie jest jedną z tych przeciętnych kompanii londyńskich, które w teatrach West-End'u („elegancka” dzielnica Londynu) cieszą się nieprzerwanym „five years' run” swego repertuaru, zawierającego sztuki takie jak np. komedia „Arsenic and Old Lace”, grana od pięciu lat bez przerwy. Już chociażby to że Old Vic nie płaci podatku od widowisk, co stanowi formę subsydium państwowego dla teatru, jest rzeczą znamienną

HISTORIA OLD VIC'A

HISTORIA tej kompanii i jej spalonego w czasie bombardowania teatru też odbiega nieco od przeciętnych, — i dlatego przyjemnie jest przeczytać książkę E. J. Dent'a „Theatre for Everybody. The Story of the Old Vic and Sadlers Wells”.

Kiedy we wczesnych latach ubiegłego stulecia otwarto na prawym brzegu Tamizy nowy Royal Cobourg Theatre, nazwany później Victoria Theatre, okazało się że postawiono go na bagnistym gruncie, że znajduje się daleko poza zasięgiem wehikułów bogatej publiczności teatralnej, a i wehikuły te nie były zbyt pewne w tych czasach, kiedy na oddalonym przedmieściu Lambeth gnieździła się biedota miejska często naruszająca „pokój królewski”.

Opuszczony przez bywalców budynek teatru stał się jako Royal Victoria Music Hall ośrodkiem akcji filantropijnej, zorganizowanym przez dwie damy-działaczki: Miss Cons i, później, Miss Baylis. Repertuar miał nie tyle podnosić moralnie mieszkańców przedmieścia ile stać się godziwą rozrywką, w czasie której zakazana była konsumpcja alkoholu. Bywalcom pub'ów można to było wynagrodzić wystawiając tylko najbardziej emocjonujące melodramaty, albo fragmenty oper.

PAPIEROS PRZECIW OPERZE

ZAMIŁOWANIE do muzyki było w Londynie wtedy tak powszechne jak dzisiaj, niestety licencja music hall'u zakazywała surowo wystawiania pełnych przedstawień w lokalach w których wolno było palić tytoń w czasie spektaklu. Toteż Miss Baylis, aby uniknąć ciągłych zatargów z Lordem Chamberlainem, prawodawcą teatralnym, a nie widząc żadnej możliwości pertraktowania ze swym audytorium o zaprzestanie palenia, wystawiała fragmenty z oper w formie „tableaux”. Audytorium ówczesnych teatrów znane było ze swej hałaśliwości, brutalności i obojętności dla sztuki w ogóle. Teatry uważano, nie bez słuszności, za miejsce zgorzenia publicznego nie ze względu na scenę a ze względu na zachowanie się widzów. Afisze więc Victoria Theatre z połowy ubiegłego stulecia zapowiadały:

ORIGINAL INTERESTING NAUTICO-DOMESTIC DRAMA

pod tytułem:

„RUTH, CZYLI DZIEWCZYNA KTÓRA POKOCHAŁA MARYNARZA”
i obiecywały pięknie malowane widoki morza, aż po brzegi Francji.

FATALNA PRZEPOWIEDNIA, CZYLI SZKOCKI KRÓLOBÓJCA

O SZEKSPIRZE nie było w ogóle mowy. Wszystkie propozycje wystawienia Szekspira zarząd Victoria Theatre odrzucał kategorycznie, ze względu na poziom audytorium i zakazy Lorda Chamberlaina. Zresztą właściwie już od czasów teatru Globe Szekspir nie miał własnego domu. Royal Theatre na Drury Lane był raczej przybytkiem w którym wielkie sławy aktorskie zdobywały rozgłos i uznanie, dopasowując Szekspira do siebie i wystawiając tylko sztuki w których same mogły zabłysnąć. Inne teatry, jeżeli nawet dały się skusić na wystawienie tego, już wówczas, klasyka, — to w formie oper i operetek albo wstrząsających melodramatów, np.:

WIELKI I PRZERAŻAJĄCY DRAMAT KALEDOŃSKI OPARTY NA WZNIOSLEJ TRAGEDII SZEKSPIRA

pod tytułem:

MACBETH

PRZEPLATANY CHARAKTERYSTYCZNYMI MARSZAMI NARODOWYMI, CHÓRAMI, WALKAMI I POCHODAMI.

p.t.:

„FATALNA PRZEPOWIEDNIA

czyli

SZKOCKI KRÓLOBÓJCA”

Nikt dobrze nie wie jak i dlaczego Miss Baylis, ustępując naleganiom młodych entuzjastów, zgodziła się na pierwszy sezon szekspirowski w Victoria Theatre. Nikt nie potrafiłby opowiedzieć dokładnie jak i dlaczego sezony te stawały się później coraz lepsze i sławniejsze, i jak to się stało że do starego teatru na Waterloo Road, wypełnionego jak dotąd tylko publicznością z przedmieścia Lambeth, zaczęła znowu przenikać publiczność miejska: wielbiciele, entuzjaści, miłośnicy. Był to czas kiedy Szekspir jako dramaturg narodowy stawał się znowu modny, i wiele uwagi poświęcano całej jego twórczości. Skąpe (przy ambicjach grania całego Szekspira) środki materialne nie

pozwalają na przygotowanie bogatej oprawy scenicznej i sprowadzono Szekspira do klasycznych form w których cały nacisk spoczywał nie na dekoracjach i kostiumach, ale na wypowiedzeniu i odegraniu tekstu. Przysłużyły się temu być może także ówczesne doktryny dramatyczne Williama Peel. Ale kto pierwszy wysunął taki projekt — nie wiadomo. Dość, że wszyscy ci, którzy pod koniec XIX wieku chętnie podnajmowali salę na różnego rodzaju imprezy religijne, polityczne i dobroczynne, we wczesnych latach XX wieku zrozumieli, że nie da się tego kontynuować, Old Vic bowiem stał się domem Szekspira. Od października 1914 do roku 1922 Old Vic wystawił wszystkie tragedie i komedie Szekspira, a w 1921 kompania została zaproszona przez ambasadora belgijskiego na występy do Brukseli. Było to prawie oficjalne uznanie Old Vic'a za brytyjski teatr narodowy.

REPERTUAR

CHOCIAŻ Old Vic stał się teatrem narodowym dlatego że wystawiał kolejno całego Szekspira, na scenę wchodzi później i inne sztuki wielkiego repertuaru od Marlowa i Goethego do Czechowa, Wilde'a no i oczywiście Shaw'a. W r. 1937 Old Vic gra Hamleta na dziedzińcu zamku w Elsinore, a w rok później, ku przerażeniu Zarządu, wystawia Hamleta w strojach nowoczesnych. Zespoły Old Vic odbywają liczne tournées po Anglii i Europie, wreszcie, w połączeniu z Sadlers Wells tworzą kompanię wystawiającą dramat i balet tylko wysokiej klasy. W roku 1939 daje to 6000 funtów deficytu. Ale Old Vic jest subsydiowanym przez państwo i dziś chyba najlepszym teatrem w Anglii, a, co więcej, jest — jak go nazwano — „people's theatre” ponieważ jego repertuar, zwłaszcza świetne produkcje szekspirowskie, związany jest z najistotniejszą treścią kultury angielskiej, którą na złożonych półkach tradycji narodowej reprezentuje, obok Biblii, przede wszystkim Szekspir. Repertuar 1945/6 zawierał więc przede wszystkim obie części „Henryka IV”, sławne ze względu na Falstaffa; „Edypa Króla” Sofoklesa i „Krytyka” Sheridan. „Wujaszek Wania” Czechowa oraz „Żołnierz i Bohater” Shaw'a uzupełniały repertuar. Produkcje szekspirowskie cechowało przede wszystkim to co stało się kiedyś inowacją Old Vic'a i jego zasługą: duża prostota w dekoracjach, zupełne wykreślenie wszystkich melodramatycznych rozwiązań scenicznych, utrzymanie możliwie niezmienionej konstrukcji scenicznej szekspirowskiej, która w nowoczesnym teatrze, zaopatrzonym we wszystkie środki techniczne, może wyglądać dziwnie, ale jest bardzo przekonująca. W budowie dramatów szekspirowskich widać bardzo wyraźnie ich przeznaczenie na scenę w Shoreditch czy w „Globe”; dopasowywanie dramatów do nowych możliwości technicznych współczesnego teatru pozbawia je często wielkiej dramatycznej ekspresji. Dlatego prostotę w wystawieniu „Henryka IV” trzeba uznać za zasługę Old Vic'a.

ZESPÓŁ

ZASADNICZYM elementem teatru jest zespół aktorski. W przeciwieństwie do wszystkich prawie innych teatrów Londynu Old Vic ma nie tylko bardzo dobrych aktorów, ale i bardzo dobry zespół. Mówiąc o Old Vic'u ma się na myśli zespół, pojęty jako całość. Old Vic wyraźnie zerwał z zasadą „gwiazd”,

którą z Ameryki przejęły prawie wszystkie teatry Londyńskie. Aktorzy współpracują ze sobą, i nawet najdrobniejsze role, jeżeli trzeba, obsadzane są najlepszymi aktorami. Zespół ten zresztą składa się z takich aktorów jak Sybil Thorndyke, dla której Shaw napisał kiedyś „Saint Joan”; Harcourt Williams, reżyser Old Vic'a w latach 1929/33; Ralph Richardson i Laurence Olivier, którzy zdobyli sobie wielkie uznanie w repertuarze klasycznym; i wielu młodszych, wykształconych w szkole dramatycznej Old Vic'a. Richardson jako Falstaff był „jednym z najlepszych w historii angielskiego teatru”. Laurence Olivier zaś jest dziś obok Gielguda najlepszym aktorem szekspirowskim w Anglii i prawdopodobnie na świecie. Duża rozpiętość talentu pozwala mu na granie tak różnych ról jak bohaterski Hotspur i komiczny Justice Shallow w obu częściach „Henryka IV”, jak Król Edyp i groteskowy Puff w czasie jednego wieczoru, jak wreszcie neurasteniczny Astrow Czechowa i operetkowy Saranoff Shaw'a.

REŻYSERIA

JESZCZE jedną wielką zaletą Old Vic'a, jeśli porównać go z innymi teatrami, jest bardzo staranna i inteligentna reżyseria (zespół reżyserski: John Burrell, Laurence Olivier, Ralph Richardson), której koncepcja jest zawsze bardzo wyraźna i zdecydowana. Przejawia się ona, między innymi, w plastycznym układzie scen zbiorowych, w harmonijnym skomponowaniu dialogów, w konsekwentnym wydobyciu charakteru sztuki w każdej scenie, czy to realizmu Czechowa w „Wujaszku Wani”, czy groteskowości w komedii Shaw'a „Żołnierz i Bohater”.

Szekspira, jak w ogóle w Anglii, i Old Vic wystawia nieco specjalnie. Koronacje, wojny i akty państwowe w historiach królów grane są z patriotycznym patosem. Poza tym Szekspir jest realistyczny w takim sensie w jakim był realistyczny na scenie teatru Globe. Wyjątkowy pietyzm z jakim się zwykle Szekspira reżyseruje i drobiazgowa krytyka jaką się przedstawieniu poświęca wpływają dodatnio na grę aktorów, zwłaszcza na mówienie wiersza, który jest bardzo trudny i wymaga specjalnego opracowania.

NOWY SEZON

NOWY sezon Old Vic'a rozpocznie się we wrześniu, a repertuar, który jest podstawą szczególnej pozycji jaką ten teatr zajmuje, składać się będzie między innymi z „Króla Leara” oraz z „Fausta” Marlowa

M.F.

NAUKOWCY W ANGLII

NAUKA A DOBROBYT LUDZKOŚCI

STOWARZYSZENIE PRACOWNIKÓW NAUKOWYCH (Association of Scientific Workers) było dawniej niewielką organizacją zawodową, o charakterze raczej lewicowym, i na liście jej członków nie było wielu z tych nazwisk, które uważane są za czołowe w nauce brytyjskiej. Dopiero doświadczenia wojenne,

a zwłaszcza wydarzenia i refleksje związane z „bombą atomową”, zmusiły naukowców do poważniejszego i natychmiastowego rozważenia ich własnej pozycji w społeczeństwie dzisiejszym, do uświadomienia sobie jakie następstwa pociągają za sobą ich prace naukowe, do zastanowienia się nad tym co mogą uczynić aby praca ich szła na dobro a nie na zło. I dziś Stowarzyszenie Pracowników Naukowych jest wielkim związkiem zawodowym, liczącym 15,000 członków.

W lutym b.r. St. Pr. N. (A.Sc.W.), przy udziale 6 innych organizacji naukowych, zorganizowało w Londynie konferencję na temat: NAUKA A DOBROBYT LUDZKOŚCI. Cytujemy poniżej fragmenty przemówień ministrów, naukowców i robotników, które świadczą o tym jak głęboko sprawy związane z rolą nauki w społeczeństwie przeniknęły do świadomości ludzi od których rozwój badań naukowych zależy: Herbert Morrison (w imieniu rządu): „Żyjemy w czasach w których nauki, a zwłaszcza nauki przyrodnicze, rozwijają się tak gwałtownie i wkładają nam w ręce taką siłę, na dobro czy na zło, że nawet sami naukowcy widzą że muszą wyjść ze swoich samotni i starają się, nieco za późno być może, uświadomić sobie społeczne znaczenie ich pracy”.

Dr. H. L. Richardson uważa że groźniejszą od „bomby atomowej” bronią jest głód: „...wygląda na to, że w ciągu obecnego półrocza będzie zboża na świecie o najmniej 8 milionów ton za mało. 8 milionów ton żywności wykarmić może 60 milionów ludzi w ciągu roku. Zatem najmniej 60 milionów ludzi czeka klęska głodu.” Dr. Richardson twierdzi że to nie tylko wojny wina. „Znamy wpływ nawozów sztucznych na zbiory w Indiach i w Chinach. Jeżeli rzucisz 100 jednostek siarku amonu na ziemię, zbierzesz od 200 do 400 jednostek zboża więcej. Tak więc milion ton siarku amonu wykarmić może około 20 milionów ludzi”. Dr. Richardson opracował plan naukowego ulepszenia rolnictwa w Indiach i w Chinach dla podniesienia zbiorów o 25%.

Prof. Oliphant, F.R.S.: „...producent jest dziś tym, co robi bomby atomowe, wojskowi i politycy są tymi co zonglują nimi i używają ich, my zaś, biedni naukowcy, możemy tylko przyglądać się temu, próbować służyć radą...”

Dr. T'U Ch'ang-Wang: „Zadaniem naukowców świata jest dziś — odpowiedzieć na pytanie: czy pozwolimy aby nauka i jej wytwory użyte zostały znów jako narzędzie zniszczenia, czy też zdecydujemy się na zmobilizowanie nauki dla postępu dobrobytu ludzkości.”

Prof. A. V. Hill (sekretarz Royal Society): „Nie możemy liczyć na to że znajdziemy od razu gotowe kryteria etyki naukowej. Liczne pojawiają się trudności, jedne wynikać będą stąd że istnieją bariery polityczne i brak wolności, inne wypłyną od samych naukowców, którzy — przynajmniej wielu z nich — okazują się raczej dziwnymi stworzeniami kiedy chodzi o sterowanie w jakimś wspólnym kierunku, nie mówiąc już o grubych rybach, patrzących na naukę jako na coś co można kupić...”

Sir Robert Robinson (prezes Royal Society): „Niektórzy, wiem, wyobrażają sobie złudnie że samotnym plugiem wyorywują swą skibę; chwila zastanowienia jednak nad tym na czym opiera się ich indywidualizm, odkryje rysy w podstawach ich rozumowania. Organizacja to nie znaczy kontrola i kierowanie, w jakimś sensie który by wywoływał sprzeciw. Słowo to

oznacza koordynację, i jest w całkowitej zgodzie z pielęgnowaniem niezależnej myśli i czynu.”

Mr. Arthur Horner: „Myślę że wy (naukowcy) macie obowiązek informować nas (masy pracujące) o naturze kapitalistycznych, egoistycznych czy reakcyjnych interesów, które zdążają do tego żeby ograniczyć i zahamować zastosowanie waszych badań... I my towarzyszyć będziemy wam w walce przeciwko takim interesom, ponieważ one obrabowują nas, większość ludności, z wyników waszych badań i waszych eksperymentów. ...jednak aby zdobyć zaufanie przeciętnego robotnika, który w głębi serca swego wciąż obawia się że będzie musiał cierpieć na skutek postępu jaki umożliwiacie nam uczynić, aby zdobyć to zaufanie — musicie wykazać, że macie świadomość społeczna tę samą co nasza. Musicie chcieć się zorganizować. Musicie stać się siłą zbiorową, będącą w przymierzu ze zorganizowanymi robotnikami, zaangażowaną we wspólnym ruchu postępowym, mającym za cel ustanowienie dobrobytu w naszym kraju i pokoju na świecie.”

NAUKOWCY I UNESCO

AMERYKAŃSKIE STOWARZYSZENIE PRACOWNIKÓW NAUKOWYCH (American Association of Scientific Workers) wydało manifest, nawołujący do pełnego i natychmiastowego poparcia dla UNESCO (United Nations Educational, Scientific and Cultural Organisation). Manifest nalega, aby dział nauki w Unesco zajął się wszystkimi fazami międzynarodowej współpracy naukowej, i wymienia następujących 9 punktów:

1. dział nauki w Unesco powinien spowodować zorganizowanie wzajemnej wymiany pracowników naukowych, na skalę światową;
2. wziąć na siebie odpowiedzialność za szybką wymianę informacji naukowych;
3. pokierować zreorganizowaniem systemu streszczania prac naukowych;
4. ułatwiać przedwojennym międzynarodowym związkom zawodowym powrót do działalności, i pomagać w organizowaniu się nowych związków;
5. pomóc w odbudowie instytucji naukowych na terenach zniszczonych przez wojnę;
6. służyć radą i pomocą rozwijającym się instytucjom naukowym w krajach takich jak Chiny, Indie, i niektóre Republiki Ameryki Łacińskiej;
7. przedsięwziąć badania na temat naukowych i technologicznych możliwości na terenach będących poniżej pewnego stopnia rozwoju, i ogłosić zebrany materiał publicznie;
8. uzgodnić swą działalność z działalnością innych międzynarodowych organizacji naukowych i technologicznych;
9. stać się głównym naukowym ciałem doradczym w U.N.O.

Memorandum wywodzi dalej, że jeżeli UNESCO ma stać się mocnym narzędziem współpracy naukowej na skalę światową, to musi mieć czynne poparcie publiczności, przewodców politycznych i pracowników naukowych wszystkich krajów. W końcu Amerykańskie Stowarzyszenie Pracowników Naukowych zwraca się do swych kolegów — naukowców Związku Sowieckiego, który nie był reprezentowany na Konferencji, aby wzięli udział w tym ważnym międzynarodowym wydarzeniu. „Sztuczne i zupełnie

niepotrzebne bariery jakie od długiego czasu powstrzymywały współpracę naukową pomiędzy naukowcami sowieckimi i naukowcami krajów zachodnich — muszą być teraz usunięte. To może być osiągnięte, jeżeli połączymy nasze siły aby uczynić UNESCO silną organizacją współpracy międzynarodowej w nauce, dla pokoju świata.”

UCZONY I JEGO NARZĘDZIE PRACY

KOPERNIK mógł sam zbudować sobie swoje „triquatrum”. Było ono jego własnością, było zależne od niego, mógł z nim robić co chciał. Nauka XIX i pierwszych lat XX wieku wymagała narzędzi bardziej skomplikowanych, laboratoriów które nie mogły być własnością jednego naukowca, — istniała jednak jeszcze pewnego rodzaju równowaga pomiędzy uczonym i jego narzędziem pracy. Istniała równowaga pomiędzy Edisonem i jego pracownią. Szopa w której pracowali pp. Curie nie była ich własnością, ale była pracownią naukową dzięki nim. Szopę można było zamienić na inną, badaczy w niej pracujących nie można było. Dziś zaczyna być inaczej. Dziś narzędzie badań zaczyna przerastać naukowców. Laboratoria stają się „większe” od ludzi. Dla pewnych badań związanych z „rozbijaniem atomu” budować trzeba już nie pojedyncze laboratoria, ale całe przemysły, na co nie może sobie pozwolić nie tylko uczony zainteresowany tą dziedziną nauki, ale i niejedno państwo. I łatwiej jest dziś zakładom naukowym zastępować jednego naukowca drugim niż naukowcom zmieniać narzędzia pracy. Łatwiej jest zakładom „A” wykonać coś bez udziału uczonego „B”, niż uczonemu „B” wykonać to samo nie w zakładach „A”.

A. B. Nobel, który w r. 1867 wynalazł śmiertelny dynamit, majątek jaki na nim zarobił przeznaczył na 5 rocznych nagród, z których jedną była i jest „nagroda pokojowa”. Dziś nie bardzo moglibyśmy zidentyfikować kto właściwie jest wynalazcą śmiertelnej „bomby atomowej”, i na kogo moglibyśmy liczyć, że zechce uspokoić swe sumienie za pomocą ufundowania nowej nagrody „Nobla”.

Już nie pojedynczy Pasteur ma prawo do naszej wdzięczności za to co zrobił na nasze dobro, — ale całe rzesze wynalazców sulfamidonów, penicilin, itp. I już nie pojedynczy Nobel poczuwa się do odpowiedzialności za to co zrobił na nasze zło, — ale całe rzesze naukowców związanych nie tylko z „bombą atomową” bezpośrednio, ale w ogóle z fizyką atomową, a kto wie czy nie i z innymi działami wiedzy, takim np. jak biochemia. I to poczucie odpowiedzialności, coraz powszechniejsze dziś wśród naukowców, z jednej strony zmusza ich do głębszego zastanowienia się nad rolą jaką odgrywają w społeczeństwie, z drugiej zaś strony skłania ich do poważniejszej refleksji na temat Etyki Naukowca. Jedną z takich refleksji jest artykuł John’a A. Ryle, Profesora Medycyny Społecznej na Uniwersytecie w Oxford („Nature”, tom 156, str. 619).

NAUKA I ETYKA

„...ludzie nauki nie wykrystalizowali jeszcze kodeksu etycznego, który by miał coś do powiedzenia tam gdzie chodzi o stosunek ich nauki i ich odkryć do społeczeństwa i do ludzkości.” — mówi Prof. J. A. Ryle — Precedens istnieje jednak: jeden z zawodów naukowych ma sformułowany wyraźnie i obserwowany powszechnie kodeks moralny. Medycyna, matka

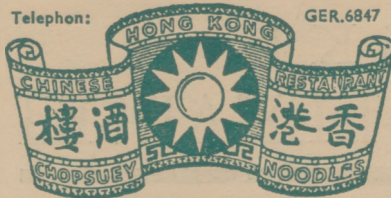
nauk, od czasów Hippokratesa (którego sławna „Przysięga, razem z Przepisami, Obyczajem, Lekarzem i Prawem, definiowała obowiązki lekarza) podlegała bardzo wiążącym i skutecznym prawom etyki, dotyczącym nie tylko nauki medycznej i stosunków pomiędzy naukowcami i praktykami, ale i owych powinności jakie lekarz winien jest człowiekowi. Dziś jasne jest dla nas, że medycyna przede wszystkim służyć miała człowiekowi. I jednak w czasie wszystkich stuleci miał lekarz mnóstwo sposobności do robienia różnego rodzaju rzeczy ‚wątpliwych‘ czy szkodliwych, i do wykorzystywania swej wiedzy dla swych celów osobistych. To właśnie te okoliczności czyniły kodeks etyczny niezbędnym. Dziś zdajemy sobie sprawę z tego, że wszystkie inne nauki są dosłownie lekarzami przyszłości człowieka, że zdolne są one w porę zapobiec tysiącom nieszczęść, wyleczyć tysiące zła, lecz że i one także przynoszą ze sobą mnóstwo sposobności do czynienia szkody. Czy byłoby to za wiele, gdybyśmy zwrócili się do naukowców wszystkich krajów aby wspólnie uznali potrzebę stworzenia kodeksu etycznego i przystąpili do jego zrealizowania? Projekt takiej deklaracji praw i obowiązków naukowca, nakreślony np. przez Royal Society, zmodyfikowany i uzgodniony przez akademie naukowe innych krajów, przedyskutowany przez wszystkie towarzystwa naukowe i, w końcu, opublikowany, — byłby nie tylko wydarzeniem historycznym o wyjątkowym znaczeniu, ale posłużyłby do odrodzenia się zamierającej dziś wiary w inteligencję i przyszłość człowieka.” I Prof. J. A. Ryle zwraca uwagę że lekarskie hasło Hippokratesa „pomagać, lub przynajmniej nie szkodzić” powinno dziś kazać fizykom ‚atomowym‘ odmówić współpracy nad bombą atomową i skierować wysiłki nad zrealizowaniem wykorzystania energii atomowej dla celów pokojowych. Ideały etyczne nie ograniczają się jednak tylko do spraw związanych z ewentualną przyszłą wojną. Warunki ekonomiczne tak samo mogą mobilizować umysły naukowców, wynajmować je za opłatą i zmuszać do pracy dla czyichś prywatnych zysków i czasem dla celów, których on, naukowiec, w sumieniu swoim nie aprobuje.

Sprzeczne jest z już istniejącym kodeksem etycznym jeśli pracodawca odbiera naukowcowi jego wolność i prawo publikowania; sprzeczne jest z moralnością humanistyczną, której dziś żąda się od niego, jeśli naukowiec bierze udział w produkcji materiałów sprzedawanych za drogo, a takich które służyć powinny całemu społeczeństwu. Pozycja naukowca — pisze dalej Profesor J. A. R. — jest dziś tak mocna, że mógłby się on stać nie tylko doradcą ale i sumieniem państwa. „...Myślenie w kategoriach moralnych i nauczanie moralności nie są bynajmniej wyłącznym prawem czy przywilejem filozofa czy teologa. I nie mogą one egzystować w oderwaniu od innych poszczególnych aktywności intelektualnych. Podstawowe badania fizyczne i studia humanistyczne nie mogą już dłużej istnieć, jeśli będą oddzielone od siebie. Dobro, tak samo jak Prawda, stało się niezbędnym, koniecznym celem w s z y s t k i e j nauki.”



Telephone:

GER.6847



HONG KONG CHIŃSKA RESTAURACJA

58-60, Shaftesbury Avenue
London, W. 1.

otwarta do godz. 10 w nocy.

ESPLANADE

HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT
LONDON, W. 9. Tel.: CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz
telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała
kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej
Warwick Ave. na brązowej linii.

Wyłączone przedstawicielstwo ogłoszeń,
Advertising Offices, The Carlton Berry
Co., Grand Buildings, Trafalgar Square,
London, W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

PRZE KROJ

ILUSTROWANY WIELOBARWNY TYGODNIK LITERACKI

REDAKCJA: KRAKÓW, STAROWIŚLNA Nr. 4
Tel. 545,60-62

WYDAWCA: „CZYTELNIK”

POLISH ARTISTS

IN GREAT BRITAIN

with an essay on POLISH ART by

C. POZNAŃSKI

5/6

Published by „NOWA POLSKA” LONDON W. 1

3/-



Published by „Nowa Polska”, 91 Great Titchfield Street, London, W.1, and
printed by Staples Press Limited at their Great Titchfield Street London,
factory. — Tel.: MUSEum 1409.

3/-

45,
778434/21117

P O L S K I TYGODNIK LEKARSKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ulica Chocimska 24

Konto P. K. O.: Warszawa I. 654

:: WYDAWCA: Lekarski Instytut Naukowo-Wydawniczy ::

Redaktor: prof. dr med. Ludwik Paszkiewicz

Sekretarz Red.: dr med. J. Mockało.

Komitet Redakcyjny Ścisły:

prof. dr med. T. Butkiewicz,

prof. dr med. L. Hirszfeld (Wrocław),

prof. dr med. K. Jonscher (Poznań),

prof. dr med. M. Kacprzak,

prof. dr med. T. Kielanowski (Lublin),

prof. dr med. W. Mozołowski (Gdańsk),

prof. dr med. W. Orłowski,

doc. dr med. E. Reicher,

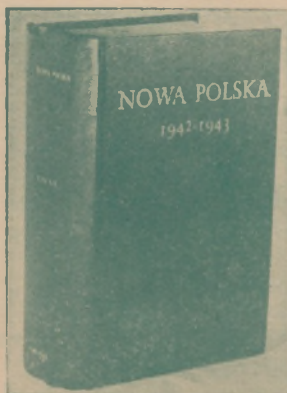
prof. dr med. M. Semerau-Siemianowski (Łódź),

prof. dr med. W. Szcrajch,

prof. dr med. Fr. Walter (Kraków).

POSZCZEGÓLNE ZESZYTY DO NABYCIA W ADMINISTRACJI
„NOWEJ POLSKI”

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**



REPREZENTACJA „NOWEJ POLSKI” W AMERYCIE

25 WEST 45th STREET, NEW YORK 19. N.Y.

posiada na składzie

52 tomy oprawne „Nowej Polski”

za 1943 rok à £ 1.15.0

33 tomy oprawne za 1944 rok à £ 2.0.0

które czytelnicy obu Ameryk i Kanady mogą nabywać
dla wygody osobistej w Oddziale Nowojorskim